

Barbara Chybalska-Cichoń Janusz Janiec Wojciech Chętcowski



DOPALACZE  
ODSŁONA  
PIEKŁA

[www.odslonapiekla.pl](http://www.odslonapiekla.pl)

Copyright © by Fundacja Dialogos, Warszawa 2015

*Wszelkie prawa zastrzeżone. Każda reprodukcja lub adaptacja całości bądź części niniejszej publikacji, niezależnie od stosowanej techniki, wymaga pisemnej zgody Wydawcy.*

**Projekt okładki:** Marcin Gwiazda

**Ilustracje wewnątrz książki:**

Maria Cichoń

Jacek Cichoń

**Skład i łamanie:** Agnieszka Żak-Kowalska

**Korekta:** Małgorzata Denys

**Druk:** Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki

ul. Duża 1

[www.c-p.com.pl](http://www.c-p.com.pl)

**Wydawca:** Fundacja Dialogos

ul. Wręczycka 11

42-202 Częstochowa

[www.fundacjdialogos.pl](http://www.fundacjdialogos.pl)

[biuro@fundacjdialogos.pl](mailto:biuro@fundacjdialogos.pl)

**ISBN 978-83-943576-0-3**

[www.odslonapiekla.pl](http://www.odslonapiekla.pl)

Barbara Chybalska-Cichoń

Janusz Janiec

Wojciech Chełchowski

# DOPALACZE ODSŁONA PIEKŁA

Projekt „Dopalacze kradną życie – odsłona piekła”, w ramach którego powstała ta książka, został sfinansowany przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz Urząd Miasta Częstochowy.



Ministerstwo  
Spraw Wewnętrznych  
i Administracji

jasne, że  
**CZĘSTOCHOWA.pl**  
it's clear



**DIALOGOS**

FUNDACJA DOBREGO NAWZAJEM

*Mamom i tatom, którzy z miłością walczą o swoje dzieci,  
i ich dzieciom, które kiedyś to odkryją*

## Odłona pierwsza

---

### *Marcin*

Marcin ma dobrze ponad 30 lat, jest zdolnym informatykiem z Warszawy. Leczył się z alkoholizmu, z narkomanii, przeszedł trzy terapie, w tym dwie zamknięte. Jest czysty od 10 miesięcy i bardzo pracuje nad tym, żeby nie wrócić do brania.

– Wszedłem w to, bo dopalacze były legalne, były dostępne. Ja czytałem skład na opakowaniu i spokój dawało mi poczucie, że robi to ktoś, kto się zna. Lubilem wiedzieć, że biorę coś, co nie szkodzi. Oczywiście to wszystko było kłamstwem i ja o tym wiedziałem, ale łatwo potrafiłem sam sobie wytłumaczyć...

Pytam Marcina o jego definicję dopalaczy i różnicę między dopalaczami a klasycznymi narkotykami.

– Dopalacze tym się różnią od narkotyków, czym denaturat od wódki. To jest rosyjska ruletka, bierzemy, na co natrafimy! To trucizna! To trutka na szczury. Chcesz brać trutkę na szczury? Bardzo proszę!

Kiedy zaczął brać, był świetnie zarabiającym dyrektorem z wielkim amerykańskim samochodem służbowym. Więc cena nie miała dla niego żadnego znaczenia. Ani za dopalacze, ani za cokolwiek innego.

Zaczął brać, bo rozstał się z dziewczyną. Ta poszła na sylwestra, on został w domu, bo jako alkoholik nie chodzi na zabawy...

– Pomyślałem: zobaczę, kupię jakieś tabletki. Poszedłem do sklepu, bo wtedy to było jeszcze całkowicie legalne. Pomyślałem: spróbuję, bo nie łamię swojej abstynencji, przecież ja jestem uzależniony od czegoś zupełnie innego. Pomyślałem: to nie są narkotyki, to jest coś takiego jak Red Bull, tylko trochę mocniejsze.

Marcin mówi, że jak wziął, był bardzo zdziwiony, że to coś jest legalne, kupione w sklepie, a było mocniejsze od rzeczy, które brał wcześniej. Pierwsze odczucia Marcina po dopalaczach były bardzo przyjemne. I jeszcze ta dostępność towaru... Bardzo mu się podobało.

– Znajdowałem w Internecie, dzwoniłem i przywozili mi do domu jak pizzę. Wybierało się opcję czas dostawy: 20 czy 40 minut. Bo w uzależnieniu czas się liczy!

Skoro wziął tylko dla spróbowania, to próbował wszystkiego: palił, brał tabletki, wciągał... Były w tym jego braniu przerwy, był jeden odwyk, ale szybko wracał znów i znów. Jak mówi, nie był na tym torze, z którego się wraca do trzeźwości.

– To takie psucie życia było. Zapomniałem, że jestem uzależniony, zapomniałem, że codziennie trzeba coś robić dla tej swojej trzeźwości. W piórka obrosłem, myślałem, że sam dam sobie radę ze wszystkim, że to nie są prawdziwe narkotyki, że mnie to nie dotyczy...

Dobry kumpel namawiał: idź na terapię, idź! Ale Marcin wierzył, że nie potrzebuje leczenia, jeszcze nie teraz. Dlatego łatwo zawarł z kumplem rodzaj zakładu, że jak jeszcze raz złamie trzeźwość, to sam pójdzie na terapię zamkniętą.

– I wpadłem. U dziewczyny, z którą byłem cztery lata. Ona wiedziała o mojej przeszłości, ale mi zaufała. Poznaliśmy się,

jak rok byłem trzeźwy, i nigdy nie widziała mnie w takim stanie. Wstyd! Straciłem ją przez uzależnienie na zawsze... Zapłakany zadzwoniłem do tego kumpla: idę! To była niedziela, w poniedziałek zwolniłem się z pracy, a we wtorek byłem już w Morawicy.

W Morawicy pod Kielcami jest szpital, a w nim oddział uzależnień. Marcin spędził tam 54 dni terapii. Bardzo przeszkadzało mu zamknięcie, mógł wyjść na dwór tylko na półtorej godzinny dziennie i tylko na ogrodzonym terenie szpitala.

– W piłkę można było najwyżej pograć z chłopakami... Źle to wspominam. Nie wiedziałem, jak po tym do domu wróciłem.

\*\*\*

Z terapii Marcin przyjechał nie do Warszawy, ale do swojego rodzinnego domu w małym miasteczku. Mówi, że nic nie robił. Wegetował. Wmówił sobie, że ma depresję, i zaczął brać leki antydepresyjne.

– Syf był. Jak robot funkcjonowałem po tych lekach. I któregoś dnia po alkoholu ruszyłem po prochy. To małe miasto, wszystkie małolaty się znają, a tu nawalony gość biega po mieście i ich o prochy pyta.

Oczywiście znalazł się ktoś, kto „pomógł” i sprzedał Marcinowi alfę PVP.

– Makabra. Pierwszy raz to wziąłem i pozamiatane. D... urywało.

Przez krótki czas Marcinowi udało się prowadzić w tym swoim miasteczku „uregulowane życie”. Wyglądało to tak, że przez



pięć dni w tygodniu coś dorywczo robił – jakieś studio prowadził, zlecenia brał... A na weekend znikał ze świata ze swoją alfą.

– To się szybko rozpędziło. Tak, że przez osiem miesięcy brałem niemal codziennie, z przerwami jeden–dwa dni, tylko jak nie było towaru albo diler wyjechał.

Marcin mówi, że to był najczarniejszy rok, że siedział w swoim piekle na piętrze rodzinnego domu, a matka – niepełnosprawna – na dole. Nie mogła do niego wchodzić, nic nie wiedziała.

– Jak się skruszyło to świństwo w dłoni, to się wżerało w skórę. Syf totalny! Czucie tego narkotyku we mnie było nawet przyjemne, ale mój organizm dostawał świra. Tygodniami nie spałem. Patrzyłem w lustro i widziałem, że się o parę lat postarzałem. W tydzień. O, te dwie zmarchy – Marcin pokazuje na swoją twarz – zrobiły mi się dokładnie w tydzień.

Był całkowicie oderwany od rzeczywistości, ale łatwo znajdował uzasadnienie dla takiego życia:

– Przecież daję radę! Przecież wszystko już w życiu zrobiłem. Przecież jestem popier... Po co mi żona, po co dzieci? Po co wypuszczać następnego bubla na świat? To tak sobie będę tu żył: oglądał porno, malował obrazy, jakieś śrubki przykręcał. Tylko jak wziąłem śrubokręt, to natychmiast widziałem jakąś inną śrubkę, więc rzucałem to i brałem się za następną, I tak w kółko. Chaos totalny!

Marcin mówi, że choć nie miał myśli samobójczych, to wtedy myślał, że mógłby umrzeć i nic by się nie stało. Nisko się cenił. Szmata, syf, śmieć – tylko takie określenia przychodziły mu do głowy... I ta potworna samotność...

\*\*\*

Przyjechał do niego w odwiedzinach kumpel, ten co go wysłał do Morawicy. I zaczął namawiać na terapię zamkniętą dla bezdomnych w Monarze na Marywilskiej w Warszawie.

– Poszliśmy nad jezioro pogadać. Ja wygnieciony, szary, chudy...

Marcin z ponad stu kilogramów wagi zjechał wtedy do sześćdziesięciu paru. Ale na terapię proponowaną przez kolegę się nie godził.

– Jaki ja bezdomny? Co on mi tu pieprzy? Nic na to nie powiedział, ale tak wtedy na mnie skubany spojrział, tak mnie przeświecił... Już wiedziałem, że jest grubo, nie tak jest ze mną.

Tydzień po wyjeździe kumpla Marcin był bez pieniędzy, bez towaru i z długiem u dilerów. Z płaczem zszedł na dół do matki, żeby jej powiedzieć, że od roku tuż nad jej głową bierze narkotyki.

– Wstyd!

Po czterech dniach był na Marywilskiej, gdzie spędził trzy miesiące swojej kolejnej terapii.

– To dobre miejsce. Trudne miejsce, ale dobre. Czuję się zaopiekowany. W pokoju miałem gościa, co apartamentowce w Warszawie budował, a od półtora roku mieszkał pod mostem Poniatowskiego. Tam zrozumiałem, że choć czuję się lepszy, to niczym się nie różnię od bezdomnych. Niczym! Wszyscy jesteście tacy sami, tylko inne życia mamy.

Po Marywilskiej Marcin nie wrócił do swojego miasteczka, tylko do Warszawy. Zamieszkał u kolegi, w dużym, pustym

domu. Zaczął pracować w dużej firmie. Ale zignorował ostrzeżenia, że w ogrodzie krzak maryski rośnie, a po domu się tabletki walają.

– Zglądałam do lodówki, tam tabletki, na nich napisane, że morfina. To wziąłem. Luźno się po tym poczułem i tak przez tydzień mu te tabletki podbierałem.

Tym razem Marcin był jednak na tyle silny, że się stamtąd wyprowadził, wynajął mieszkanie. Ale, jak mówi, wirus uzależnienia się wciąż w nim kotłował.

– Dostałem potwornego głoda. Taki strzał w głowę, że nie ma wyjścia. Myślisz, że zaraz umrzesz, zaraz się rozpadniesz, nie jesteś w stanie przeżyć i jest tylko jeden ratunek: wziąć. Kupiłem w sieci, znów przywieźli jak pizzę.

Zadzwoił do pracy, że jest chory, i brał przez tydzień. Pod koniec tygodnia zasnął na fotelu. Spał pierwszy raz od tygodnia. Kiedy się obudził, zobaczył na stole dopalacze.

– Co ja robię? Przecież ja nie biorę! Przecież byłem na terapii! Więc w płacz i telefon do kumpla, że miałem wpadkę. A ten każe wszystko wyrzucić. Z bólem wywaliłem do kibla. Tyle sprzętu... Poszedłem na terapię, taką ambulatoryjną, dwa razy w tygodniu. Nudziłem się tam, terapeuci mi mówili, że ja wszystko wiem, wszystko kontroluję...

Więc wiadomo, co było dalej.

– Półtora miesiąca nie byłem w robocie! To mam chore, tamto chore, tu sprawa spadkowa, tu coś innego. Mistrzem kłamstwa byłem... A oni tak się przejęli, że mnie nawet wspierać chcieli.

Marcin czuł się chory fizycznie. Potwornie bolały go nerki, godzinami nie mógł się wysikać. Czuł się chory psychicznie.

Zadręczał się myślami, że sobie życie rozpieprza, sam jest wszystkiemu winny, że dookoła tylko pustka i samotność.

– Nawet najlepszy kumpel nie chciał ze mną gadać. Wiedział, że go oszukuję. Mam w poniedziałek iść do roboty i nawet nie jestem w stanie kolejnego kłamstwa wymyślić. Po alkoholu jak już bardzo nawalony byłem, zacząłem się drzeć do Pana Boga: Ty mnie nie kochasz! Masz mnie w d...! Przecież ty wszystko widzisz!

I wtedy stał się cud. Bo Marcin z tym krzykiem zasnął, ale obudził się wypoczęty, spokojny. Postanowił: teraz albo nigdy. I po czterech latach nawrotów i walki z sobą pobiegł prostować sprawy z robotą i na terapię.

Od prawie roku nie bierze i jest w dochodzącym programie 12 kroków.

– Musisz pamiętać, że jesteś uzależniony na całe życie. Musisz wciąż o to dbać, pamiętać, co jest dla ciebie dobre, a czego się wystrzegać.

Marcin porównuje uwalnianie się z nałogu do chodzenia pod prąd na ruchomych schodach:

– Jak cały czas idziesz, to może nawet wejdziesz. Ale jak przestaniesz, od razu jesteś na dole. W cztery lata od dyrektora, z dziewczyną, kasą, poukładanym życiem i przekonaniem, że mi się nic nie stanie – trafiłem na terapię dla bezdomnych! Żeby nie lecieć w dół, wciąż trzeba dbać o jakość życia. Jest różnica, czy jesz rybę na krawężniku, czy na białym obrusie. Cały czas musisz być między ludźmi, między uzależnionymi. I cały czas być z nimi szczerym. Bo uzależnienie to samotność, a trzeźwość to ludzie...

\*\*\*

Marcin podaje statystykę, którą poznał na zjeździe przy Marywilskiej: przez tę terapię w ciągu 12 miesięcy przeszło 160 osób. Po roku wciąż trzeźwych zostało sześciu. Więcej niż rok – trzy osoby.

## Odstona druga

---

### *Ala i Nina*

Kartka ma niebieski odcień i jest w kratkę. Wyrwana ze środka zeszytu. Gwałtownie, bo po metalowych spinaczach zostały spore dziury. Na górze z pochyłych literek ktoś ułożył słowo „życiorys”.

– Mogę go przeczytać, pozwolicie mi?

Siedzimy w pokoju Niny i Ali. Dziewczyny sprzątają. W ośrodku dla młodzieży uzależnionej sobota jest od porządków.

– Jasne, możesz.

Kartka jest z zeszytu Niny, a Nina ma nie więcej niż 17 lat. Włosy do ramion upięła w kucyki. Dziecinna buzia i sportowe, zwinne ruchy. Do sprzątania założyła luźne spodnie od dresu. Tak jak Ala. Obie uwijają się od rana. Ale nie tak bardzo wczesnego rana, bo w sobotę można pospać do siódmej. A w niedzielę nawet do dziewiątej.

Ala jest tutaj od pięciu miesięcy. Nina krócej, z tego kilka dni była w psychiatryku.

– Bo byłam zaburzona – tłumaczy. – Ale już jest dobrze. Dziewczyny sprzątają w milczeniu. Kartka w kratkę pokryta jest nierównym pismem. Widać, jak autorka kilka razy zmieniała długopis, odpoczywała albo i porzucała kartkę między kolejnymi akapitami

Nina pisze, że wszystko zaczęło się, gdy miała osiem lat i

rodzice postanowili zabrać ją od babci do swojego domu.

*Stałam się samodzielną i nie potrzebowałam już uwagi i czułości, jaką dawała mi przez 8 lat babcia. Trudno było mi się do tego przyzwycząić, bo mama piła nałogowo alkohol, a tata – codziennie wieczorem.*

Czytam, rozmawiamy. Pisanie życiorysu to część terapii. Na kartce w kratkę drobnymi literkami Nina zmieściła cały swój świat.

*Moje problemy zaczęły się w pierwszej klasie gimnazjum, kiedy sięgnęłam po papierosy i poznałam starsze towarzystwo. Zaczęłam też pić i zapisałam się na boks z koleżanką, a u kolegi dodatkowo uczyłam się samoobrony.*

Nina wyciąga śmieci spod łóżka. Jest bardzo dokładna. Wciska swoje szczupłe i wygimnastykowane ciało pod drewnianą ramę, ile się da, pełźnie do samej ściany. Znika tam na dłuższą chwilę.

– Niech mi ktoś pomoże. – Jej głos spod łóżka jest spokojny. Żadnych gwałtownych ruchów. Zaklinowała się. Próbuje ją wyciągnąć. Prawie czuję, jak w plecy Niny wbijają się wystające części łóżka. Nie mogę nawet wsunąć dłoni i jej osłonić. Nie mogę podnieść łóżka, bo jest wielkie, piętrowe. Centymetr po centymetrze odzyskujemy Ninę. Pęka koszulka rozdarta czymś ostrym. Patrzę, kiedy na plecach pojawi się krew. Nina odwraca się i uśmiecha zwycięsko.

– Nic się nie stało, drobiazg – mówi.

*Zaczęłyśmy jeździć na mecze, brać udział w ustawkach. W szkole trzymałam się w grupie z sześcioma dziewczynami. Byłyśmy słabszych, piłyśmy, paliłyśmy papierosy, nie chodziłyśmy do szkoły. Klóciłam się o to z rodzicami, że przychodzę pijana i wagaruję.*

Na podłodze na środku pokoju wciąż leżą ubrania dziewczyn. Ala ułożyła już ciuchy, Nina dopiero składa swoje w kosteczkę i pakuje do szafki. Wszystko ma swoje miejsce, bo w pokoju półek jest bardzo mało. A na trzy osoby tylko jedno biurko. Właśnie Ala położyła na blat zeszyty. Ułożyła je w trzy zgrabne stosy. Nina jest wkurzona.

– No zabierz je, potrzebujemy tego blatu do lekcji... Masz przecież półkę!

Ala odmawia. Robi się gorąco.

Wychodzę z pokoju poszukać Oli, trzeciej mieszkanki pokoju. Nie ma jej od rana – gotują z Olkiem budyń z sześciu litrów mleka.

*Ja jakoś zdawałam bez poprawek, ale one już kiblowały z dwa lata. W trzeciej klasie gimnazjum odłączyłam się od dziewczyn, bo miałam już kuratora i sprawy o pobicia, demoralizacje, ale one odebrały to negatywnie i się mściły.*



Nina jeszcze to jakoś przeżyła. Najgorsze znajomości przyszły potem. A wraz z nimi narkotyki.

*To przeszło w nałóg, pozwalało mi zapomnieć o picciu mamy. I o tym, że jestem w domu bita.*

Kiedy poznała Krzyśka, paliła już co dwa dni. Po czterech miesiącach odnowiła kontakt z tamtymi koleżankami i rzuciła szkołę.

*Zaczęłyśmy palić dopalacze i brać do nosa. Mama codziennie mnie biła i dawała kary za to, że znów zaćpałam i krałam. Najpierw 6 tysięcy, a potem 9 oraz siostrze z 200 złotych.*

Wracam do pokoju, a dziewczyny do kłótni o zeszyty trzymane na biurku. Komu wolno, a komu nie. Nie mogą dogadać się same, więc zwołują społeczność ośrodka. Pięć minut później siedzimy w pustej sali na dole. To specjalne miejsce zebrań. Kilkanaście osób i terapeuta. Szukamy rozwiązania problemu. Po nowemu – przez rozmowę o tym.

Najpierw mówi Ala, potem Nina. Chłopaki podnoszą rękę, terapeuta wyznacza kolejność zabierania głosu. Mówią o uczuciach, proponują rozwiązania. Ale terapeuta ma jeszcze inne zdanie.

– Nie chodzi o zeszyty – kończy dyskusję Zbyszek. – Chodzi raczej o władzę w pokoju i o to, kto będzie miał ostatnie słowo.

Dziewczyny muszą dogadać się same. Jeśli nie – jutro zajmiemy się tym dalej. Wracajcie do swoich zajęć, a panie mają teraz czas na pogadanie o zeszytach na biurku.

Wracamy do pokoju. Pomagam Ali powiesić firankę. Ala jest zgrabna i szczupła, wysportowana jak Nina. Próbujemy poruszyć stare żabki, ale te z brzegu nie przesuwają się na ramie. W końcu firanka zawisała i wszystko przy niej wygląda już lepiej. Tylko kłótnia o zeszyty psuje nastrój.

*Teraz jestem na terapii, mój tata nie żyje i nie mam okazji powiedzieć mu przepraszam. Przy mojej rodzinie czuję się jak złodziej, nawet jak prawda jest moja. I mam wrażenie, że cały czas patrzą mi się na ręce.*

Ala wyciera wodę z podłogi. Ktoś wcześniej kopnął kubek z wodą.

– To w nerwach – mówi Nina, ale nie wyjawia kto.

Przy łóżku Ali przypięta kolorowa kartka. Starannie wymalowany kredkami napis, a kolorowe ślady roztarte palcami układają się w barwne smugi: „Bo jaka broń poza żartem pozwala śmiać się z tego, co nie jest śmieszne, i stawiać czoło temu, co nie jest do zniesienia”.

– Gdzieś to znalazłam i mi się spodobało – potakuje Ala. Nie przestaje sprzątać pokoju, ale zeszytów z biurka nie zabiera.

Nina denerwuje się i wybiega z pokoju. Po chwili wraca i rzuca się na swoje łóżko, na nieposkładane do końca ubrania.

– Idę spać – mówi, i odwraca się do nas tyłem. Ale nie zasypia.

Wstaje po chwili i zaczyna tłumaczyć Ali, dlaczego powinna zabrać z biurka zeszyty. Ala wyciera kurze, nie odpowiada.

– Nie ignoruj mnie! – krzyczy Nina.

\*\*\*

Pukanie, wchodzą Krzysiek i Adrian.

– Cześć, esbeo! – rzucają. – Kto najpierw? Nina siada na podłodze. Krzysiek przyklęka przy niej. Zbliża twarz. Nina zamyka oczy, otwiera i znów zamyka. Chłopak zagląda jej w oczy. Potem Nina otwiera usta, chucha i pokazuje język. Wszystko bardzo szybko, jak rytuał. Na koniec wystawia dłonie tak, żeby kolega z esbeo mógł powąchać palce. Adrian zdążył już tak samo sprawdzić Alę.

– Nie wiesz, co to było? – śmieją się dziewczyny. – To SBO, czyli Służba Bezpieczeństwa Ośrodka. Sprawdzamy się co jakiś czas. Trzeźwość i papierosy. To tutaj zabronione, można za to wylecieć.

„Nie chcę mieć strachu w oczach, żaden dobry człowiek go nie ma”. – Ala uśmiecha się, gdy czytam jej kolejną kartkę. Także na jej łóżku. Łóżko tutaj to najbardziej kawałek domu. Drugi kawałek to szafka, a trzeci pokój. Wszystko trzeba jakoś oswoić, ocieplić czym tylko można. Do ocieplania są też małe tabliczki. Jak wizytówki, każdy ma jedną.

„Życie nie tylko po to jest, by brać” – napisała na swojej tablicy Ala. Odkrywam nowy sens słów tej piosenki. Słowa „brać” i „pić” to tutaj klucze. Znaczą tutaj tylko jedno.

– Nina, mogę obejrzeć twoją tablicę?

Dostaję zgodę, ale żeby to zrobić, muszę usiąść na łóżku Niny. Zajmuje parter. A jej tablica wciśnięta jest przy poduszce, wprost za głową.

– Ładna pościel? – Nina jest dumna, bo udało jej się dobrać szarości i fioleły z pralni.

– Świetnie wygląda, a jak pachnie... – Leżę już na miejscu Niny, żeby przeczytać jej tablicę.

– Nina, masz plakat z akcji „Dopalacze kradną życie”! – nie kryję zdumienia.

– Wiem, spodobał mi się.

Ale najważniejsze miejsce zajmuje dyplom: drużyna Niny i mistrzostwo Będzina w siatkówce.

– No tak... W siatce też byłam dobra. Może jeszcze kiedyś do tego wrócę...

– A gadałaś z Pawłem? – przypomina sobie nagle. – Nie? Wiesz co, bo on robił dopalacze sam w domu, chociaż miał dopiero 14 lat. Raz dał swojej siostrze i ona od nich prawie umarła. Ale racja, nie mogłaś z nim gadać, bo go tutaj już nie ma. Niedawno zmienił ośrodek.

Nina znów wybiega z pokoju i zaraz wraca. Przynosi nową poszewkę na kołdrę. Taką brązową, w białe wzory.

– Ala, zobacz, jak nowa!

Ala nie wytrzymuje i patrzy na zdobycz Niny. Przerywa sprzątanie.

Po kolei bierzemy poszewkę w ręce i wachamy ją z uwagą. Rzeczywiście pachnie jak nowa.

– Ale jest piękna – zachwyca się Nina. – Piękna jak cholera! Marzyłam o takiej!

Zatrzymuje się nagle i patrzy na Alę.

– Weź! Dam ją tobie – mówi.

Nina wciska pościel w dłoń Ali i szybko odwraca się do okna.

Nie widać jej twarzy.

Ala jeszcze nie dowierza. Trzyma chwilę najładniejszą pościel w całym ośrodku, a potem rzuca ją na swoje łóżko, jakby parzyła. Wraca do sprzątania półek.

\*\*\*

Życiorys Niny ma jeszcze tylko jeden akapit.

*Potem zmarł mój tata i po miesiącu mieszkania u siostry i ćpania mama oddała mnie do placówki opiekuńczo-wychowawczej, a tam przydzielili mi drugiego kuratora. Teraz czekam na sprawę, na której zapadnie decyzja, czy idę do poprawczaka.*

Nina bierze ode mnie kartkę. Napisać życiorys to jedno, a drugie to go przeczytać na głos przy wszystkich ludziach z ośrodka. A potem wpiąć do swojej teczki. Więc muszę go oddać.

Przytulamy się na pożegnanie. Krótko, ale mocno, jak w sztukach walki, które Nina ćwiczyła.

– Zobaczysz, ja i tak będę trzeźwa... – szepcze mi do ucha. Nie zdążyłam pożegnać się z Alą.

Poszła do kuchni pomagać w szykowaniu obiadu dla ludzi z ośrodka.

Nikt nie widział, kiedy trzy stosy swoich zeszytów przeniosła z biurka na półkę, trochę na lewo od szafki Niny.

## Odłona trzecia

---

### *Majka (terapeutka)*

**– Pamiętasz swój pierwszy kontakt z nowymi narkotykami?**

– Cztery lata temu... To był janbone, odczynnik chemiczny, który dzieciaki kupowały przez Internet. Silnie halucynogeny. Wtedy zaczęliśmy opisywać do Krajowego Biura Przeciwdziałania Narkomanii różne nowe środki, o których pacjenci nam opowiadali. Wiedzieliśmy, że coś się dzieje, bo pojawiły się sklepy, a u nas zaczęły ustawiać się kolejki. Natomiast do nas – wiadomo – ludzie trafiają później, jak zaczynają się konsekwencje.

**– Jaki narkotyk z tych już znanych przypominają dopalacze?**

– Nie ma porównania. Może tylko to, że przy ciągłym braniu dopalaczy musimy najpierw wysłać ludzi na detoksykację, jak kiedyś po heroinie i innych ciężkich narkotykach. Co znamienne, przy dopalaczach my, terapeuci, musimy być wspomagani przez psychiatrów bardziej niż kiedyś, po innych narkotykach. Bo branie dopalaczy to produkcja psychiatrycznych pacjentów.

**– Czy objawy po dopalaczach są inne niż znane po starych narkotykach?**

– Oczywiście! Po dopalaczach człowiek niekoniecznie wygląda, jakby coś narkotycznego zażył, tylko na przykład miał

jakiś nerwowy atak albo się połamiał. Byłam świadkiem, że ktoś był tak powykręcany... Myślałam, że go z wypadku przywieźli, a okazało się, że jest po dopalaczu... Cały wygięty, pokręcone ciało, policzki w skurczach, grymasach... To też zaskakiwało ludzi, co sięgali po dopalacze. Składniki musiały się często zmieniać, bo niby brali ze sklepu, niby legalnie, a objawy były nieprzewidywalne... Na początku nie byliśmy pewni, czy ktoś ma udar i zaczyna się paraliż, czy coś innego się z nim dzieje. Znacznie później po okresie leczenia charakterystyczne dla dopalaczy było, że dłużej niż po innych narkotykach utrzymują się objawy psychotyczne. Takich ludzi nie można diagnozować, mimo że od miesiąca są trzeźwi. Oni nadal się boją, to ogromny lęk. Jak chłopak, który nie bierze już rok, a wciąż nie wychodzi z domu. I nie wiemy, czy rozwija się u niego coś nowego, czy to skutek dopalaczy. To bardzo częste. Ktoś po dopalaczach jest jakiś czas trzeźwy, był nawet w terapii, a potem zaczynają się objawy i łąduje w szpitalu z psychiatryczną diagnozą.

**– Czy to, że dopalacze pojawiły się w sprzedaży, było dla ludzi usprawiedliwieniem: aha, skoro kupuję w sklepie, znaczy że jest bezpiecznie...**

– Myślę, że to skutek tego, że sprzedawcy tłumaczyli, że dopalacz „parodiuje” nielegalny narkotyk. Ludzie poczuli się bezpiecznie: w sklepie płacę, mam paragon... Kiedy pacjenci opowiadali, że ktoś im coś okraślił czy przyrasował narkotyk, mówiłam: idź reklamację złożyć, przecież masz paragon... Ludzie na początku szli jak do apteki: skoro można, znaczy – dozwolone. Tylko nie zapominajmy, że dozwolony jest alkohol i papierosy. Też są groźne, lecz nie tak dobijające jak nowe narkotyki w postaci dopalaczy.

**– W jakim wieku najczęściej ludzie sięgają po dopalacze?**

– Nie ma prawidłowości. Kiedyś to byli głównie młodzi, a teraz spotykam takich po pięćdziesiątce, którzy przeszli z używania innych narkotyków i dotarli do tego. Są skuszeni ceną, łatwością dostępu. Nasza najmłodsza pacjentka ma 14 lat. Czyli gdy zaczynała, była jeszcze młodsza. Bo do nas trafiają już użytkownicy. Ci, którzy zostali przyłapani albo zaczyna być z nimi bardzo źle.

**– Dlaczego ludzie sięgają po coś, co ich niszczy?**

– Tak samo sięgają po alkohol, po papierosa... Po rzeczy, które im przynoszą ulgę, radość lub po prostu im smakują. Albo chcą eksperymentować. Sięgają też, bo inni sięgają. Albo żeby zaimponować. Takie próbowanie i kosztowanie życia w postaci elektronicznych gadżetów i środków zmieniających świadomość jest bardzo naturalne dla młodych osób.

**– Po kilku latach obecności dopalaczy na rynku ludzie powinni wiedzieć, że są śmiertelnie groźne...**

– Młodzi nie mają dystansu do śmierci, życia, zdrowia... Dla nich jest tu i teraz. Kompletnie nie mają pojęcia, że to ich może zabić. To co? Najwyżej się umrze – mówią do mnie. Szczególnie ci w okresie dojrzewania mają taki stan nieszanowania i niedocenywania życia i własnego zdrowia.

**– Może dla niektórych branie to taki test odwagi, takie przeżycie na granicy? Że się nie boję... Że pójdę na krawędź, pokażę sobie i innym...**

– Teraz testem odwagi jest nie brać, powiedzieć wszystkim w klasie, że ja nie chcę! Ponieważ to jest teraz tak popularne, to test odwagi przesunął się w drugą stronę.

**– Nie myślisz, że to punkt widzenia dorosłych? Oni nie potrafią jeszcze pomyśleć: pokażę moc, gdy odmówię, gdy**



**powiem – nie wezmę, spadaj z tym...**

– My myślimy, że tym powinien kierować lęk. A tym kieruje coś innego. Nie lęk o zdrowie i życie, tylko całkiem inne uczucie. Poszukiwanie doznań, poszerzanie granic. Czasami robienie na złość. Bo jak dziecko może najbardziej zaszkodzić swojemu rodzicowi? Niszcząc jego dzieło!

Tak więc nie ma jednej przyczyny, dla której ludzie sięgają po narkotyki. Jest ich bardzo wiele. I jeszcze, że każdy w to wnosi pewną swoją osobistą przyczynę. Nieśmiały sięga po pobudzacze, ten, który jest nadpobudliwy i mu to mu przeszkadza w kontaktach, weźmie wyciszacze...

**– Przychodzi taki młody człowiek tutaj, już wiadomo, że bierze... Czym jest dla niego terapia?**

– Myślę, że przede wszystkim wsparciem i pomocą. Ale także ratunkiem w niektórych przypadkach. Do nas trafiają osoby, które ponoszą konkretne straty: tracą szkołę, zaufanie rodziców. Także różne utraty w sensie społecznym. I terapia, oprócz tego, że ma wprowadzić do ich życia zmianę, pomaga im przezwyciężyć te trudności. Nadrobić straty, które ponieśli.

**– Czyli zajmuje się wszechstronnie ich życiem i sytuacją...**

– Nasi pacjenci to z reguły bardzo samotne dzieciaki. Bo jeżeli nie chce brać, a jest w towarzystwie, które bierze – nie może tam wrócić. A jednocześnie od tych, którzy nie brali – daleko odstał. Dlatego oni się mocno trzymają razem, rozwijają w sensie towarzyskim, czują się z sobą bezpiecznie. Także taką funkcję pełni ich pobyt. A później po terapii, gdy przechodzą do grup neofitów, czują się bezpieczni, wzmacniani, że można żyć trzeźwo. Bo niestety w naszym społeczeństwie trudno być trzeźwym.

**– Czym jeszcze jest terapia?**

– W naszej terapii są dwa takie nurty: motywująca i skoncentrowana na rozwiązaniach. Skupiamy się na wzmocnieniu u pacjentów ich mocnych stron. Nie staniesz na chorej nodze, staniesz na zdrowej... I ona cię może ponieść, mimo że drugą masz chorą. Wiadomo, że gdy spotkania są raz w tygodniu, cała zmiana dokonuje się w istocie poza gabinetem. Terapeuta towarzyszy pacjentowi w podnoszeniu się, w rozwijaniu jego zasobów, po to, by pacjent mógł pokonać swoje trudności sam.

**– Jest więc terapia także rozpoznaniem samego siebie. Być może dla wielu pierwszą taką możliwością w życiu... No i prawdą o nim.**

– Tak, ale to może być trochę później. Bo na początku, gdy oni tu przychodzą, to ewidentnie są wyzbyci z emocji, nie umieją nawet nazywać uczuć. Mają duże trudności. Chemia wyprała ich z wyższych uczuć, emocji. Dopalacze im to wszystko zabierają. Od nowa muszą uczyć się odczuwać, być z ludźmi, budować duchowość, relacje z bliskimi... Często to widać w parach małżeńskich. Ktoś ileś lat ćpał, ukrywał to przed żoną, był tylko na tym skoncentrowany, więc nie wtrącał się do wydatków domowych, wychowania dzieci i tak dalej... A po terapii wychodzi facet i nagle chce wiedzieć, jak syn jest wychowywany...

**– Stał się człowiekiem, jakiego nie znała...**

– ...czasem zaczynają się wojny. Bo ona sama by dwa razy szybciej coś zrobiła, ale on teraz się wtrąca, też chce to robić. Dlatego ideą naszej poradni jest to, że zajmujemy się całą rodziną, żeby to szło równo, żeby nie dochodziło do kryzysów po terapii. I żeby osoby, które żyją z takim człowiekiem, też

wiedziały, z jakimi problemami mają do czynienia.

Nadal jeszcze spotykamy się z takimi sytuacjami, że rodzice oddają nam dziecko jak buty do szewca. Nie czują potrzeby uczestniczenia w tej zmianie. Mówią: to on jest zepsuty... Najpierw nam się oddaje młodego człowieka: tylko żeby nie brał! Za dwa miesiące: ale on nie chodzi do szkoły... Za trzy miesiące: jak on to wszystko nadrobi... Rodzice zwiększają wymagania. My też zwiększamy wymagania i dzieciak w pewnym momencie się budzi, a wszyscy od niego czegoś chcą. Nie opłaca mu się być trzeźwym. Bo jak brał, to wszyscy się tylko modlili, żeby przestał. Ale jak nie bierze, to chcą, żeby szedł do pracy, żeby szedł do szkoły... Żeby nadrabiał różne rzeczy, żeby się rozwijał. Gdy my to śledzimy, nieraz sobie mówimy: aha, już jest zmiana. Bo już rodzicom nie wystarczy, żeby nie brał, jeszcze musi sprzątać...

**– Wszyscy tutaj mają dużo do nadrobienia za ten stracony czas...**

– Niektórzy mają z tym naprawdę problem. Oni uczą się wielu spraw. Robią samodzielnie zakupy, gotują obiady... I muszą się jeszcze dokładnie rozliczyć z tego. Teraz na przykład jest szef kuchni, który późno przychodzi. Więc mają na lodówce całe litanie wypisanych przepisów, jak mają myć mięso, jak przygotować różne rzeczy. I ci, co akurat mają dyżur, muszą to wykonać, boby nie mieli obiadu... Uczą się od nowa życia po prostu.

**– W trzeźwości.**

– Tak. I jest im czasami rzeczywiście ciężko. Organizujemy dla nich wspólne wyjścia w soboty czy niedziele, wycieczki, zajęcia sportowe. Żeby mogli być ze sobą. Bo weekend jest dla nich ciężki. Zachęcamy ich do kontaktów, żeby byli dla siebie

wsparciem. Staramy się, żeby czuli, że jest trzeźwy świat. Że nie muszą być napity, żeby się dobrze bawić na dyskotecę, albo należeć do jakiejś grupy za wszelką cenę.

**– Pacjenci, którzy zaczynają terapię na oddziale dziennym, przebywają tu od poniedziałku do piątku od czternastej do dwudziestej, a równolegle mogą pracować ich rodziny...**

– Tak, mamy grupę dla partnerów, mamy grupę dla rodziców. Mamy także grupę dla tych, którzy są już długotrwale trzeźwi i są po jakiejś terapii, ale jej nie skończyli. To takie trzymiesięczne grupy na zakończenie. I jest bardzo duża grupa neofitów. Z naszego ośrodka i z ościennych. Wszyscy, którzy skończyli terapię. Są taką barwną, fajną grupą. Bardzo się wspierają. Potrafią sobie wzajemnie szukać pracy, pożyczać pieniądze. Mają przyjaciół tutaj, po terapii. Jeśli trudno im zaistnieć w normalnym życiu, to tutaj mają wsparcie.

**– Ile osób przechodzi rocznie przez twój ośrodek?**

– Około 300 osób, a z rodzicami licząc, nawet do 500.

**– Czy sądzisz, że z uzależnienia od narkotyków i nowych narkotyków, czyli dopalaczy, można wyjść bez terapii?**

– Mówisz o samoleczeniu. Są takie przypadki. Była tu przez chwilę na terapii dziewczyna, potem wyszła. Dopóki miałam z nią kontakt, była trzeźwa, potem nie wiem. Ale była zagrożona, że jej odbiorą dzieci. Czyli miała silną motywację zewnętrzną. Ale to nie zawsze jest skuteczne. Bardzo dużo dziewczyn traci dzieci. Później to droga przez mękę, żeby je odzyskać. Nie wszystkim się udaje.

**– Z jakich rodzin pochodzą pacjenci ośrodka? Czy jest jakaś reguła?**

– Z przeróżnych. Mamy cały przegląd zawodów, statusu społecznego, kondycji finansowej...

**– Więc wcale nie jest tak, że gdy rodzina jest pełna i wszystko w niej dobrze działa, to dzieciak nie będzie próbował?**

– Każdy z nas żyje w takich kręgach: koleżeńskim, szkolnym, rodzinnym, sąsiedzkim... Jeżeli wszystkie te kręgi prawidłowo, ochronnie działają wokół nas, to jest w porządku. Zawsze ktoś coś zauważy, zareaguje i zadziała. Dojrzy, że ktoś skręca w złą stronę. Bo rodzic jest z dzieckiem – jeśli odliczyć czas snu – około czterech–pięciu godzin dziennie. Dłużej są z nim nauczyciele, bo sześć–osiem godzin. Ale to różni nauczyciele. Tak więc mało jest osób, które mają sposobność, żeby wszystko zauważyć. Dlatego te kręgi muszą działać poprawnie, żeby dziecko poczuło się bezpiecznie. Tylko ludzie, z którymi to dziecko się koleguje, nie muszą mieć tak samo. Wciągną, namówią...

Myślę, że niebezpieczeństwo mogą zauważyć rodzice, którzy żyją bardzo blisko z dzieckiem. Ale oni też często łapią się w pułapki. Na przykład ta: myślą, że dziecko pali tylko marihuanę i to nie jest groźne. Że można zapalić od czasu do czasu i nic się nie dzieje.

**– Jakie są straty z sięgania po dopalacze?**

– Najgorsza strata to śmierć. Pod wpływem dopalaczy ludzie mogą też się poranić, połamać... Przedawkowanie może zniszczyć różne organy. Do tego straty finansowe, społeczne. Kolidują z prawem, historie, które będą się za nimi ciągnąć, jakieś sprawy sądowe, kuratorzy. Pewne zawody będą już dla nich zamknięte. To też jest strata, że nie będą mieć pełnego wyboru. Są także straty rodzinne, bo to wpływa na zdrowie

całej rodziny. Oni też czasem boją się wracać w rodzinne strony. Lubią kontakt z bliskimi, ale z daleka, więc decydują się na samotność.

**– Również lęk przed wszystkim, nieufność do świata...**

– Może tak być, że relacje z ludźmi będą u takiej osoby już zawsze zaburzone. Oni muszą mieć partnerów albo bardzo mocnych, albo bardzo z nimi współdziałających. Im jest trudno ułożyć sobie życie, trudno jest wytrwać w związku. Boją się, mają przeróżne fobie. Ale boją się też ich rodziny. Znam matki dzieci zaleczonych od lat, które do dziś nie odpowiadają na dzwonek domofonu, bo to zawsze będzie im się kojarzyło z czymś złym. Albo nie ufają dzieciom do dziś, bo w to wszystko bardzo wrośnięte jest kłamstwo i manipulacja.

**– Czy możemy sprecyzować, jaka jest wyleczalność z narkotykowego uzależnienia?**

– Raczej zaleczalność. Bo wyleczalność to zakończony proces. A te osoby będą narażone właściwie zawsze, bo to jest choroba z nawrotami. Jak każde uzależnienie. I te nawroty, nawet bez wzięcia narkotyku, mogą się pojawić ze wszystkimi objawami. Nasi pacjenci są szczególnie uczeni, jak sobie radzić z tymi nawrotami, myślami, trudnymi sytuacjami. Bo przyjdzie taki moment, gdy pomyślą, że łatwiej przyćpać niż słuchać kogoś albo przeżyć coś trudnego.

**– Czyją historię zapamiętałaś szczególnie?**

– Młody człowiek, koło 30 lat, dwoje dzieci, rodzina. Był u nas ponad rok. Dobrze szedł, skończył terapię. Potem odsunął się od ośrodka, zaczął pić piwo. Przygniotły go różne przeżycia. Najpewniej wziął też dopalacze. Teraz jest w zakładzie psychiatrycznym i nie wiem, czy wyjdzie.

Są też i śmieszne chwile, bo czasem musimy też się śmiać. Pamiętam, wysłałam kiedyś na detoks chłopaka, co już parę lat brał różne świństwa. A on dzwoni do mnie stamtąd: „Gdzieś ty mnie wysłała!? Przecież tu same ćpuny są!”. To taki nasz śmiech przez łzy.

Ale są też dobre, szczęśliwe zakończenia, kiedy na koniec wręczamy im dyplomy, nasza kadra dostaje podziękowania...

**– Mówiłaś wcześniej o manipulowaniu, podporządkowaniu sobie otoczenia. To też część uzależnienia, prawda?**

– Bardzo ważna. To są mechanizmy, które osoba uzależniona uruchamia, żeby móc patrzeć na siebie w lustrze. Jeżeli będzie manipulował bliskimi, jest mu łatwiej, jest usprawiedliwiony. Oni przecież czują, że robią źle, stąd te wszystkie zatłumaczania, te iluzje, zaprzeczania... Żeby nie bolało, że marnują sobie życie. I bardzo trudno jest z tym walczyć, wyrwać to z nich.

**– Przyzwyczajają swoje otoczenie do tych wszystkich swoich prawd i argumentów, wymyślonych, żeby mogli dalej brać albo lepiej się poczuć...**

– A bliscy w to wchodzi. Szczególnie matki są pełne poczucia winy. Rozpatrują każdą rzecz, czy postąpiły dobrze. W trakcie terapii bliscy są pełni poczucia winy, żalu i lęku. Trzeba nad tym z nimi pracować, żeby im to zdjąć z ramion.

**– Jaki rodzaj terapii jest łatwiejszy: otwarta czy zamknięta?**

– Myślę, że trudniejsza jest otwarta. Nie jest sztuką nie brać w ośrodku w środku lasu. Wszyscy go pilnują i jest pewien rytm. Sztuką jest nie brać i leczyć się, kiedy muszę przejechać koło sklepu z dopalaczami, monopolowego, obok dilerów. I dojechać do ośrodka. I być trzeźwym.

– **Każdego dnia taki ktoś musi sam dokonać wyboru.**

– Dlatego trudniejsza jest terapia ambulatoryjna i ta dzienna. W zamkniętej nie ma dostępu do narkotyków, nie wychodzi się, nie trzeba rządzić się pieniędzmi.

– **To, co chroni ludzi w ośrodku dziennym, jest ich własne.**

– Tak, to jest ich zasób. Oni go muszą użyć. Oni też chronią się poprzez to, że zawsze gdy chcą gdzieś iść, na przykład na dyskotekę, a są w terapii, to muszą uzyskać zgodę całej grupy. Grupa z kimś takim rozmawia. I to niekoniecznie terapeuci, ale inni pacjenci. Oni pytają, czy wiesz, co cię tam może spotkać, czy właśnie teraz powinieneś ryzykować, czy może poczekać, bo to jeszcze nie ten czas. To pozwala im trochę rozminować czekające na nich zagrożenia. Taka dyskusja pomaga też przewidywać możliwe skutki pewnych decyzji.

– **W terapii dostają narzędzia i wiedzę, jak ich użyć. Poza ośrodkiem mogą z nich skorzystać lub nie. To zawsze będzie ich wybór.**

– Tutaj uczą się, jak odmówić, jak unikać sytuacji zagrażających i trudnych. To z nimi wręcz trenujemy, by mogli potem w normalnym środowisku nie przemykać gdzieś w cieniu, ale iść normalnie ulicą.

– **Pacjenci często buntują się w terapii...**

– Mało kto do nas trafia z motywacją wewnętrzną. Raczej są zmuszeni przez sąd, rodzinę, sytuację albo zdrowie. My to nazywamy motywacją zewnętrzną. I dopiero w trakcie terapii ona się zmienia w motywację wewnętrzną, gdy każdy określa, co chce zmienić i co zrobić.

Przez pierwszy miesiąc oni „parują”. Wtedy nie można od nich



wiele wymagać. To takie oswajanie sytuacji, chronienie ich, żeby w ogóle coś mogli. Dopiero później zaczyna się terapia, która staje się wymagająca. I oni na różnych etapach bardzo się buntują. Bo gdy pacjent idzie dalej i powinien być już zadowolony, to terapia też idzie dalej i mówi: musisz jeszcze to, jeszcze to i tamto... Tu zmienić, tam powinieneś inaczej... Inni pacjenci też mu mówią: tak, dobrze, nie bierzesz, ale kłamiesz jeszcze, oszukujesz... Mówiłeś, że nie będziesz palił, a palisz... coś tam... Oni tu wzajemnie się też sprawdzają.

**– Ale i trudność, i bunt są w terapię wpisane, prawda? To jest proces.**

– Wiem, że najchętniej przychodzą do ośrodka już jako neofici... Śmiejemy się, że nawet nie wiadomo, czemu wtedy tak często przychodzą... To ich wewnętrzna potrzeba. Ale też mają takie coś, że w każdej chwili gdy czują, że mają kryzys, mogą się u nas pojawić i powrócić zarówno na oddział, jak i do poradni.

**– I przychodzą?**

– Przychodzą! Mamy w tej chwili dwie osoby, które czują, że coś mogłoby się dla nich źle skończyć. Wracają na chwilę, wzmacniają się. Sięgają po powrót do nas jako jedną z metod chronienia się.

**– Jakie błędy rodziców powodują, że ich dzieci wpadają w dopalacze?**

– Jak świat światem rodzice będą popełniać błędy. Nie popełnia błędów rodzicielskich tylko ktoś, kto nie ma dzieci. Jesteśmy narażeni na to, żeby błędzić, mieć wątpliwości. Robimy coś niepotrzebnie, wpadamy w gniew albo próbujemy poprzez dziecko zrealizować własne cele. Ale o jakie błędy pytasz?

– **Na przykład: kochaj swoje dziecko, ale je kontroluj.**

– Do mnie to akurat nie przemawia. Dziecko może wziąć narkotyki o ósmej rano i nie iść do szkoły. A ty przyjeżdżasz po pracy i nie poznasz nic. Bo marihuana działa jakieś 40–50 minut i koniec. Potem twoje dziecko tak na oko jest w porządku. Myślę, że ważne jest zaufanie do dziecka, ale i odwrotnie: dziecko powinno mieć zaufanie do rodziców.

– **Czy w ogóle da się uchronić dziecko przed sięgnięciem po narkotyki?**

– Myślę, że to nie jest możliwe. W kółko powtarzamy małemu dziecku, że musi robić tak jak wszyscy. Małe się buntuje, nie chce się ubrać w spodnie, ale mama mówi: jest Dzień Nauczyciela, wszyscy są elegancko ubrani i ty musisz, jak wszyscy. I tak mu mówimy, mówimy, aż nasze dziecko zaczyna dojrzewać i słyszy od nas coś dokładnie odwrotnego: dlaczego ty musisz tak jak wszyscy? Co, jak tamten skoczy, to ty też skoczysz? Odwracamy to! Wszyscy to robimy. Takie argumenty wyciągamy, bo jest nam wygodnie. A dzieci nie powinno się wychowywać, żeby nam było wygodnie, tylko żeby im było wygodnie w życiu.

– **Zmiany cywilizacyjne są tak szybkie, że – ja się na tym łapię – nie sprostałam, nie zdążyłam za tym wszystkim, za moim dzieckiem i za pojmowaniem zmieniającego się świata.**

– Tak, na przykład Internet... My używamy go głównie do komunikowania, natomiast dzieciaki czasami do walki, czasami do tego, żeby dręczyć innych. I tak jest z każdą myślą techniczną, że może być różnie użyta.

Naszym błędem jest to, że dajemy dzieciom wszystko gotowe.

Zajęcia dodatkowe, tańce, języki, sport... Wystarczy dziecko tylko dowieźć. Ale gdyby mu to wszystko zabrać, siądzie i powie: nie mam co robić! Często dzieci chodzą jak konie w zaprzęgu. Nie pozwalamy im, żeby były kreatywne, umiały sobie zorganizować czas, więc zostaje im tylko Internet. Kiedyś wyglądało się przez okno i pod blokiem była banda dzieci. Ja ich teraz nie widzę. Teraz jak siedzą grupki, to są podejrzane. Zabrakło wspólnoty, więc oni tworzą inną wspólnotę: przy picciu, przy braniu. Przynajmniej na początku to jest dla nich atrakcyjne, bo tam idą i tam są w towarzystwie. Jediną wolność mają wtedy, gdy się naćpają.

– **Tak sobie wyobrażam, gdy dzieci siedzą przy komputerach... tam wszystko jest możliwe. I może pojawia się taka myśl: jak będę miał takie turbodoładowanie, czyli dopalacz, to będę miał zwiększoną moc, błyskotliwość, szybkość, uczenie się, atrakcyjność. Różne dobre cechy...**

– Spotkałam się z taką grupą. Brali środki halucynogenne i byli połączeni siecią. Relacjonowali sobie na gorąco, co kto widzi i jak się czuje.

– **Zbiorowy seans narkotycznej iluzji...**

– Tak, a rodzice są spokojni, bo dziecko siedzi zamknięte w pokoju i rozmawia sobie przez Internet... A to była grupa około dziesięciu osób, które w ten sposób eksperymentowały z różnymi dopalaczami. Też rodzaj wspólnoty...

– **Jakie sygnały mogą zaniepokoić rodziców?**

– Każde nietypowe zachowanie: nadmierna senność, pobudzenie, opuszczanie się w szkole, wagarowanie. Nie że zaraz dopalacze... Na początek można zrobić zwykłe badanie krwi, moczu, żeby zobaczyć, czy nie ma fizycznych podstaw do

zmiany zachowania. Wykluczyć, czy na przykład nie szykuje się cukrzyca, nie ma awitaminozy. A dopiero gdy wyniki są w porządku, trzeba być uważnym, czy nie zmienił towarzystwa, nie ma jakichś przerywanych telefonów, gdy pojawi się rodzic, tajemnic... To wszystko powinno rodziców uczulić, że dzieciak coś kombinuje. Wtedy trzeba próbować porozmawiać i być blisko. Możesz je uchronić, tylko kiedy będziesz jak najbliżej dziecka. Bo może być tak, że dziecko jest gnębione w szkole i dla niektórych ucieczką jest wzięcie czegoś.

– **Takim usypiaczem czujności rodziców jest też myślenie, że dziecko wchodzi w wiek dojrzewania, więc to normalne, że się dziwnie zachowuje, wyrośnie z tego...**

– Tak, to możliwe. Dzieci mają interes, żeby ich nie odkryć, więc czasem lepiej nas znają niż my ich. Wiedzą, w co uderzyć albo kiedy mama się na coś godzi, a kiedy odpuszcza. Dlatego musimy znać swoje dzieci. No i nie myśleć wiecznie, że jak był mały, to był greczny...

– **A jeśli już rodzic nabrał podejrzeń, wykluczył chorobę albo znalazł dziwne przedmioty, a dzieciak nie przyznaje się... Co wtedy zrobić?**

– Może przywieźć dziecko do nas, wykonujemy testy sprawdzające metabolity w moczu. Może przywieźć coś, co znalazł. Mamy testery do substancji psychoaktywnych. Dziecko dostaje wtedy sygnał, że jest pod lupą. To może go powstrzymać. Jeżeli tylko mamy podejrzenia, powinniśmy się zwrócić do specjalistów. Ale też to, że testy nic nie wykryły, nie powinno nas usypiać. Pewne substancje bowiem wynoszą się z organizmu szybciej i nie wyjdą w testach. A te są coraz lepsze. Ostatnio zaskoczyliśmy pacjentów, bo mamy testy, które mogą wykryć alkohol w moczu do trzech–czterech dni po wypiciu. Są

też coraz lepsze testy na dopalacze. Oczywiście zawsze będziemy krok za producentami. Najpierw coś się musi pojawić, żeby do tego dopracować test. Będziemy wiecznie za nimi gonić.

**– Czy my, rodzice i terapeuci, nadążamy za problemem dopalaczy?**

– Trzy lata temu w naszej poradni był zwyczaj, że jeden terapeuta był zawsze dostępny dla kogoś wchodzącego z ulicy. Teraz umawiamy się z naszymi pacjentami na konkretne godziny, a w niektóre dni, choć przyjmuje nas szóstka, mamy kolejki. Więc na razie, patrząc, jak przybywa nam pacjentów – nie nadążamy...

Boję się też, że ludzie, którzy wymyślają dopalacze, wymyślą coś takiego, co będzie jeszcze bardziej śmiertelne. Oni dodają wciąż nowe środki, są bezwzględni. Im jest wszystko jedno. Już teraz ludzie umierają, skaczą z pięt, różne rzeczy się z nimi dzieją. Pamiętasz, jak z zagranicy przychodził do nas zatruty alkohol? Normalnym ludziom nie mieściło się w głowie, że można sprzedawać coś takiego, wiedząc, że jest śmiertelne. I tak samo będzie z dopalaczami.

*Majka Tkacz – terapeuta uzależnień, prezeska Częstochowskiego Towarzystwa Rodzin i Przyjaciół Dzieci Uzależnionych, szefowa Ośrodka Profilaktyczno-Społecznego dla Uzależnionych i ich Rodzin oraz Poradni Terapii Uzależnienia od Środków Psychoaktywnych w Częstochowie.*

## Odsłona czwarta

---

### *Kasia (mama)*

Kasia o uzależnieniu Jacka dowiedziała się latem zeszłego roku. Przez 16 miesięcy nie miała pojęcia o tym, że jej ukochany, jedyny synek bierze dopalacze.

– Nie zauważyłaś?

– Nie. Byłam ślepa i głucha. Nie zauważyłam. Myślałam, że kiedy się ma 16 lat, może nie być łatwo. Dojrzewanie, hormony, bunty... Właśnie tak wtedy myślałam o jego złościach. I byłam naprawdę dobra w usprawiedliwieniach. To mnie uspiło, zabiło moją czujność. Na fotelu psychoterapeuty wyładowałam ja, nie on. Co prawda poszliśmy razem, bo już nie mogliśmy się dogadać. Pamiętam ten obrazek z pierwszego wspólnego spotkania: ja przy terapeutce przejęta, cała w emocjach. A on chłodny, za szybą. Tak patrzy, patrzy na mnie i mówi z niechęcią: „Ło Jezu... no i pewnie znowu się rozplaczesz, mamoo...”.

I tak oczywiście było: Kasia wyszła stamtąd zalana łzami, a Jacek nienagannie spokojny i opanowany. Zero emocji...

– Czułam, jak o jedną cegłę dziennie ktoś podnosi mur między nami. A jak tylko chciałam go przebić, spod cegieł wyłaziły druty pod napięciem. I odpadałam od muru. Tak za każdym razem. Oboje byliśmy coraz bardziej samotni. I, cholera, nic nie mogłam zrobić. Tak mi się wtedy wydawało.

– Gdybyś miała ten czas jeszcze raz dany...

– Widziałabym na pewno więcej. Na przykład widziałabym ten

jego chłód, tę dziwną niechęć do mnie. Bunt buntem, ale czasem porcja nienawiści, jaką dostawałam, zginała mnie w pół. Mówiłam do siebie: jesteś wymagającą matką, to dlatego. A jeszcze Jacek podkręcał śrubę i powtarzał, że inne matki są normalne, nie wtrącają się tak w życie dzieci. Chciał, żebym zostawiła go w spokoju, o nic nie pytała, nie interesowała się. Czułam, że tracę właściwą miarę. Czasem pytałam się: a skąd mam ją mieć? Pierwszy raz jestem mamą szesnastolatka. Pierwszy raz on ma 16 lat. Może powinnam szybciej dostrzec, że ta jego złość to już nie jest złość, ale eksplozje wściekłości? Z byle przyczyny. Ale coraz częściej zdarzało się, że iskrą były zakazy i granice, jakie stawiałam: nie dam ci tyle kasy, ile wołasz. Nie możesz wracać tak późno... Dlaczego nie odbierasz telefonu... A on: wybuch! Wybuch! Wybuch!

Kasia pamięta pierwszą wielką awanturę z synem.

– Zabroniłam mu gdzieś wyjść, a on po prostu wytarł sobie buty w mój zakaz. Wybiegł z mieszkania z przekleństwami i sprzed windy wyryczał na całą klatkę: „Nienawidzę cię! Chcę, żebyś wreszcie umarła! Żebyś zdechła!”.

Kasia stała jak słup.

– Nie wiem, jak się po tym poskładałam, opatrzyłam rany, choć nadal nie widziałam wszystkiego w całości. Nie łączyłam różnych sygnałów. Widziałam obrazy z płynących dni jakoś tak osobno, nie umiałam ich połączyć. A może nie chciałam łączyć, bo myślenie o tym bolało. Za to ja, dzielna mama zbuntowanego nastolatka, siadałam raz w tygodniu na fotelu u terapeuty i szukałam winy w sobie. Godzina za godziną, spotkanie za spotkaniem, tydzień po tygodniu.

Kasia pamięta z tamtego czasu opowieść o żabach. Że uczeni zrobili doświadczenie: do garnka z wodą wrzucili żabę. I

zaczęli podgrzewać wodę razem z nią. Biedna żaba tak się przyzwyczaiła, że woda wokół coraz cieplejsza, że nie wyskoczyła na czas i ugotowała się. A z drugą żabą zrobili tak, że zagotowali wodę i dopiero wtedy ją wrzucili. Wyskoczyła natychmiast.

– Byłam tą żabą podgrzewaną miarowo. Dałam się tak podgrzewać. Widziałam coraz mniej, choć działa się coraz więcej. Wciąż łudziłam się, że jak przejdzie ten cholernie trudny wiek... Dopiero potem posypały się zdarzenia, po których wyskoczyłam z garnka. Ale to dużo, dużo później. Kiedy woda niemal się wygotowała i skórę przypalił mi żywy ogień.

\*\*\*

Kasia nie pamięta wszystkiego. Tylko plamy. Błyski. Jeden zapadł jej w pamięć. Siedziała w kuchni. Jacek wszedł w zimowych buciorach. Otworzył lodówkę, potem szuflady zamrażarki na samym dole. Sięgnął po mrożonki i kopniakiem domknął szufladę.

– Patrzyłam wstrząśnięta. Ja dbam, sprzątam, a on wsadza brudną podeszwę buta w sam środek naszej lodówki! Wciąż mam to przed oczami, chociaż wydarzyło się przecież wiele gorszych rzeczy.

Kasia opowiada, jak wyglądało ich życie:

– Ja w swoim pokoju, on w swoim. Coraz mniej wspólnych spraw. Od niedzielnego śniadania czy obiadu też uciekał. Telefon doprowadzał mnie do szału. Nawet w ubikacji. Zajrzałam w billingi. Boże, kiedy on w ogóle śpi?! Esemesy, ememesy, telefony... trzecia, czwarta w nocy. Próbowалам



rozmawiać. Znowu wystawiał druty pod napięciem. Wchodziłam do jego pokoju, gdy był w szkole, i miałam dziwne odczucie, że dzieje się coś niedobrego. Tam natychmiast ogarniał mnie lęk i niepokój. Chaos i nieporządek. Cudaczne malowidła na ścianach. Patrzyłam i myślałam: ja bym tego nie wymyśliła! A gdyby ktoś mi to namalował w pokoju, zwiłabym. I uciekałam z tego jego pokoju. I to był błąd. Powinam szukać mojego strachu. Ale ja miałam głowę pełną wyjaśnień: jest młody, dojrzewa. Ma prawo mieć bałagan. To jego pokój, zostaw! Ma prawo do prywatności. Przeszukać rzeczy? No skąd!

Kasia mówi, że Jacek dobrze o tych jej zasadach wiedział. I przywołuje kolejny obrazek: jest w salonie, przy desce do prasowania. Jacek ogląda bajki.

– Godzinami mógł oglądać te głupie bajki i się zaśmiewać jak idiota. W rękę telefon. Esemesy, ememesy, Facebook. I tak w kółko. Zwracam mu uwagę, pytam o szkołę. A on zrywa się z furią i krzyczy: „Czemu nie jesteś jak inne matki?! Daj mi spokój, daj mi normalnie żyć! Ciągłe się wtrącasz! Zostaw mnie! Odczep się!”.

Kasia rozumiała, że stała się największą przeszkodą w życiu syna według jego własnych reguł. Ale nadal nie zdawała sobie sprawy z zagrożenia, wciąż nie umiała czytać znaków, których już wcześniej było pełno.

– Na przykład dlaczego, gdy wraca, otacza go dziwny zapach. Musiał się czymś nieźle polewać, skoro czułam to przy moim mocno uszkodzonym węchu. Znalazłam tłumaczenie, że pewnie sięga po papierosy. Zapytałam. „Nie, nie...”, powiedział. „Tylko bywam w miejscach, gdzie inni palą...” Byłam naiwna, ale nie aż tak. Wchodziłam więc potem do jego pokoju i

próbowałam zrozumieć ten zapach, który tam wyczuwałam. Wołałam koleżanki, żeby powiedziały mi, co czują. Ale jego dezodorant pachniał podobnie.

Kasia znalazła więc wytłumaczenie i odetchnęła. Ale niepokoiły ją i inne rzeczy. Twarz syna: zmieniona, pełna wyprysków. Oczy: z siateczką czerwonych żyłek.

– „Bo jestem przemęczony! Bo nie śpię przez ciebie! Daj mi spokój!”, mówił. Dałam. Tak przecież mogło być. Nie chciałam być matką wariatką. Chciałam ufać i wierzyć mojemu dziecku.

Kasię czasem dziwiło, że syn mógł spać po dwanaście godzin bez przerwy, ale niebawem doszły jeszcze dziwne rozmowy, którymi zaszczyczał ją, kiedy wracał po spotkaniu z przyjaciółmi.

– Był strasznie ożywiony, mówił bardzo dużo i szybko. Ucieszyłam się, że wraca nam kontakt. Ale on nie przestawał gadać. Pamiętam tamto odkrycie: jego oczy. Wielkie źrenice. Zganiłam się nawet, pamiętam, za głupie podejrzenia.

Kasia czekała, aż syn wyjdzie z pokoju, siadała w tym samym miejscu i świetle, żeby podstawić sobie lusterko przed oczy. Już nie umiała sama sobie wyjaśnić, czemu jej źrenice były całkiem inne, mniejsze niż u syna... Jacek i narkotyki?

– Człowiek ma od razu sto myśli. Jak to? Tyle razy z nim o tym rozmawiałam... Tyle razy mówił, że nie robi głupstw. To chyba tylko w domach, gdzie są wielkie problemy. Przecież to moje dziecko! To niemożliwe... Ale zapytałam go. „No co ty mamo, zwariowałaś!”, śmiał się. „Oczywiście, inni to robią, ale nie ja. Żebyś ty, mamo wiedziała, co ludzie wyprawiają... Nigdy bym się za to nie wziął. Za mądry jestem!”

Kasia jeszcze raz rozprawiła się z własnym strasznym

podejrzeniem. Rozprawiła się jednak pod pewnymi warunkami: postanowiła znaleźć i kupić testy. Ale kupowanie testów zajęło jej trzy miesiące. Zupełnie jakby to testy mogły przyprowadzić do domu narkotyki.

– Zwlekałam, ociagałam się. Dziś myślę, że nie potrafiłam uporać się z myślą, że moje dziecko coś bierze. Moje! Takiej świetnej matki. Bo czy ja pasuję do obrazu matki nastoletniego narkomana?

\*\*\*

Tamtego poranka Kasia szykowała się do pracy.

– Nastawiłam wodę na kawę, a kiedy zadzwonił dzwonek, musiałam wyjść z jednym pomalowanym oknem. Czekają trzech, może czterech mężczyzn. Proszę bliżej. Pokazują legitymacje. „Mamy nakaz przeszukania, proszę nas wpuścić, policja”. Spytali o syna. Pokazałam pokój. Jacek stał błądy. Kazali zamknąć psa i przyprowadzili swoje. „Proszę sprawdzić, czy nic nie zginęło pani z domu”, rzucili do mnie. Zawsze trzymałam kosztowności trochę byle jak. Tu pudełeczko, tam szkatułeczka. Rzuciłam się w te miejsca. Nie było obrączek, nie było pierścionka z brylantem, nie było łańcuszka, drugiego pierścionka, bransoletek... Mój syn, mój kochany synek okradł nasz dom... „Pójdiesz z nami”, powiedzieli policjanci do Jacka. Jacek został zamknięty w izbie dziecka. Na początku nie było nawet wiadomo, na jak długo. A ja leżałam i próbowałam wyobrazić sobie, gdzie on jest. Czemu go nie szukasz? – wyrzucałam sobie. Czemu nie przywieziesz do domu? Nie utulisz!? A z drugiej strony czułam, że on jest tam bezpieczny. Że wszedł w coś strasznego, ale tam „straszne” go nie dosięgnie. Co było wtedy ze mną? Nie pamiętam dokładnie.

Wszystko znieruchomiało. Nie byłam w stanie pracować, prowadzić auta... Chciałam tylko nie czuć. Miałam wrażenie, że go straciłam. Zamknęłam się w pokoju, nie widziałam sensu wstawania z łóżka. Przestałam odbierać telefony, bo mówienie o tym przyjaciołom przerastało mnie. Ale jeden z nich powiedział zdanie, które wyrwało mnie z odrętwienia: „Jeśli ty mu teraz nie pomożesz, nie pomoże mu już nikt na świecie”. I to zdanie to był klucz do mnie. Obudziłam się.

Do Kasi zadzwonili z policji następnego dnia. Że jak chce, może odebrać swoje dziecko.

– Pomyślałam: chcę, ale nie od razu. Chciałam, żeby czekał. Żeby wreszcie on raz zaczekał na mnie. Po godzinie oddzwoniłam, że niestety, mogę przyjechać dopiero wieczorem. Przyjechać i porozmawiać, bo nie wiem, czy zabiorę go do domu.

Policjanci byli zdziwieni reakcją Kasi. Ona sobą też. Kiedy wreszcie tam pojechała, nie płakała. To Jacek zerwał się i rozbeczał jak mały chłopczyk.

– W środku i ja płakałam, ale na zewnątrz byłam już inną mamą. Podszedł do mnie niepewny, jak małe zwierzątko. Wtulił się i szeptął tylko: „Przepraszam, mam, przepraszam, zabierz mnie do domu, mam...”.

Kasia pamięta, że Jacek okrutnie śmierdział, w tych swoich długich włosach, z których był zawsze taki dumny, teraz potarganych i brudnych.

– Pocałowałam go w te włosy ukradkiem. „Czy chce pani zabrać syna do domu, czy mamy go zawieźć z powrotem na izbę?” – pytanie wpadło w ciszę, bo nie znałam odpowiedzi, bo chciałam mieć czas na zastanowienie. „Mamo, błagam, zabierz

mnie do domu, nie pozwól mi tam wracać...” – Jacek mnie nie puszczał, a ja dokładnie wiedziałam, że syn nigdy dotąd tak bardzo nie czekał na moje słowa. Na dole komendy, kiedy byliśmy już sami, jeszcze raz wyszeptał: „Przepraszam”. Pierwszy raz usłyszałam ślad przeprosin. Przedtem rzucał mi to jak ochłap...

\*\*\*

Z opowieści, którą Kasia usłyszała od syna po powrocie do domu, najbardziej pamięta to: „Gdybyś była głupsza, wszystko mogłoby się ciągnąć dalej”.

Czy opowieść Jacka była prawdziwa? Kasia nie wie. Wie, że została totalnie oszukana i że z jej zaufania do syna nic nie zostało.

Jacek brał dopalacze od ponad dwóch lat. W szkole wszyscy próbowali, cała paczka. Tyle że potem wszyscy przestali. Poza Jackiem. Do Kasi dotarło, że jej syn mógł umrzeć, kiedy ona za ścianą oglądała telewizję. Poczula się winna.

– Zaciągnęłam go na badania. Wciąż bałam się, że umrze, że wciąż to coś w nim jest jak bomba z opóźnionym zapłonem i ja nie zdołam go uratować.

Robiła Jackowi badanie za badaniem. Wyniki nie były najlepsze. Ale powoli organizm wracał do zdrowia.

– Lekarka miała wątpliwości, powiedziała: „Prześwietlenie mózgu musimy powtórzyć”.

\*\*\*

Jacek trafił na terapię. Dobrowolnie, ale z oporami. Był niechętny i zbuntowany. Ale nie dostał wielkiego wyboru. Mógł wybrać między ośrodkiem zamkniętym a pobytem dziennym. Wybrał tryb dzienny, trudniejszy. Jechał do ośrodka po szkole, pięć razy w tygodniu. Wychodził po ósmej wieczorem.

– I tak stał się cud! Najpierw wyzywał i buntował się, potem pogodził, a wreszcie zaczął doceniać. Cud zajął nam siedem miesięcy i wciąż trwa. „Muszę stawać przed sądem, mam?” , pytał. „Tak, musisz”.

Kasia złożyła zeznania na policji, wyliczyła skradzione rzeczy i tym sposobem Jacek stał się nieletnim oskarżonym Jackiem K.

– „Jesteś moją matką, czemu mi to robisz?” , pytał. „Jesteś moim synem, dlaczego mi to zrobiłeś?” , odpowiadałam.

Kasia pamięta, jak siedzieli pod salą sądową, a potem, jak na sali rozpraw Jacek złapał ją za rękę.

Zarzut: kradzież i dopalacze.

Wyrok: kurator i przymusowe leczenie.

Jacek leczy się nadal, już bez przymuszania. A Kasia długo się zastanawiała nad swoim rodzicielstwem.

– Byłam złą matką? Co zaniedbałam? Nie umiałam słuchać? Nie miałam czasu? Mogłam wysłać go do innej szkoły, gdzie nie spotkałby tego gnojka, który mu to zaczął sprzedawać... Ale teraz, po tych dopalaczach, po tym sądzie, zaczęliśmy się dogadywać jak nigdy... W poniedziałki kończymy zajęcia w ośrodku o tej samej porze, idziemy razem do domu. Nawet nie musi mi teraz mówić, że mnie kocha...

## Odsłona piąta

---

### *Piotr (policjant)*

Piotr jest w policji od ćwierć wieku, z tego dwadzieścia lat na pierwszej linii, w służbach operacyjnych kilku garnizonów na Mazowszu. Postawny, szpakowaty, krótkie włosy i imadło w dłoni. Pali jak smok, stojąca przed nim popielniczka mogłaby mieć rozmiary miednicy.

Dopalacze pojawiły się nagle. W miejscowościach, w których Piotr pracował lub prowadził wraz z innymi policyjne działania, nie było tego niemal wcale widać.

– Jakies dziesięć lat temu, kiedy pierwsze opakowania zaczęły krążyć po Polsce, nawet za specjalnie się na to nie zwracało uwagi. Nie mówiło się też o tym oficjalnie „dopalacze”. Środkami odurzającymi były generalnie narkotyki, mocniejsze czy słabsze.

Ci, którzy nie palili marihuany lub nie brali twardych narkotyków – chociażby heroiny czy o wiele droższej kokainy – bo nie było ich na to stać, szli w medykamenty. Głównie psychotropy<sup>1</sup>, choć nie tylko. Czasem włąmywali się do aptek, zakradali się do szpitalnych magazynów, przychodni lub na

---

<sup>1</sup> Przepisywane na receptę leki antydepresyjne, przeciwłękowe, nasenne czy neuroleptyki, stosowane tylko pod kontrolą lekarską i mogące prowadzić do uzależnienia.

oddziały do gabinetów lekarskich czy dyżurek pielęgniarek, gdzie leki przechowywano dość często w oszklonych szafkach zamykanych na prymitywny zamek.

Dostanie się do takiego „sejfu” zabierało dosłownie kilkanaście sekund. Wystarczyła odrobina sprytu i determinacji, a tej mieli od cholery. Nawet przy mocnym spięciu się ochrony, straży miejskiej lub nawet policji służby te stały raczej na straconej pozycji, tym bardziej że monitoring nie był jeszcze tak powszechny jak dzisiaj. – Piotr zapala kolejnego papierosa.

– Każda tabletką przedłużała euforyczny stan, którego tak mocno potrzebowali. Zresztą leki wciąż są kradzione i chętnie stosowane. Niestety także takie, które pozornie nie mają nic wspólnego z możliwością odurzenia się jakiegoś małolata. Wystarczy, że sięgną choćby po acodin – syrop na kaszel dostępny w każdej aptece bez recepty. Zawiera dekstrometorfan, działający podobnie jak pochodne opium. W normalnych dawkach blokuje odruch kaszlu i pomaga, w potężnych ilościach, jakie pochłaniają, wywała mózg w kosmos i w skrajnych przypadkach może nawet zabić.

Kiedy zatrzymywali tych młodych ludzi, argumentacja była przeważnie taka sama. Potrzeba. Przemożny ciąg do odrobiny luzu, odlotu, wolności, spokoju od codziennego męczenia całego świata. – Piotr, po tylu latach bycia gliniarzem, stawia prostą diagnozę. – Kiedy ma się 13 czy 14 lat, wszystko co oferuje życie to stanowczo za mało. Grabisz od świata ile się da i co chwilę chcesz więcej. Spróbować, dotknąć, doświadczyć. Nie ma granic, nie ma przeszkód. Czasem tylko, cholera, brakuje właśnie kasy, by realizować kolejne wizje. Gadanie ojca czy matki, że wszędzie czai się zło, bo świat nie jest



czarno-biały i trzeba uważać, by nie popełniać błędów, za które potem przyjdzie długo płacić i żałować, oczywiście na nic. Szkiełko i oko, organoleptyka – jeśli sam nie poczujesz i nie sprawdzisz, cudze błędy i mądrości są bez znaczenia. Tarot na żywym organizmie, co dzień nowa karta. Planowanie także nie istnieje, planować się będzie, kiedy rzeczywistość siądzie na plecach i przycisnie do ziemi. Ale teraz liczy się zabawa i rozpoznanie życia walką. To czas gimnazjum, o którym jedni mówią, że unowocześniło polski system edukacyjny, zaś inni wciąż, choć minęło tyle lat, załamują ręce i zgrzytają zębami, bo dla nich to poroniony pomysł porównywalny z wylęgarnią szaleńców.

Mnóstwo zależy w tym momencie od nauczycieli i rodziców, bo bez współdziałania, jak w czasie frontowej operacji, wychowanie staje się kolejnym frazesem bez zaplecza. Strach? Strachu też nie ma. Co z tego, że w sprawie dopalaczy podniesiono takie larum? Zaprzęgnięto do tego media i naukowy sztab fachowców, a kolejne wcielenia wszelakich Mocarzy cały czas zbierały śmiertelne żniwo i nie można było nic zrobić rozprowadzającym to gówno kolesiom, bo produkt nie zawierał substancji zakazanych. Dorośli zastanawiali się jednak, czy dzieciarnia, która padała po zażyciu „dopałki”, nie widzi, co dzieje się wokół – jak jest to niebezpieczne. Psychologowie odpowiadali natychmiast – nie, nie widzą, bo młodzi nie mają świadomości śmierci. Po prostu jest ryzyko, jest fun i zabawa. Im dalej się posuniesz, tym większym jesteś gościem. A to, że ktoś przedawkował i się zawinął? Nie miał, kurde, farta.

\*\*\*

– Wybuchło jak bomba – wspomina Piotr, a kolejny niedopałek łąduje w popielnicy. – Błyskawicznie pojawiły się sklepiki, gdzie tym handlowano.

Sprzedawali to jako chemię spożywczą, środki do prania, zestawy kolekcjonerskie. Pomysłów mieli mnóstwo. Ważne było, że zawsze pojawiał się na opakowaniu komunikat, że to nie do spożycia. I spokój. Praktycznie byli nie do ruszenia.

Gdy w 2008 roku zrobiło się o tym głośno i władza rzuciła się do zamykania tych sklepików, wykorzystując przy tym służby sanitarne i działając, jak mówił ówczesny premier, „na granicy prawa” – w krótkim czasie zlikwidowano ich niemal 1300. Taka to była skala.

– Marne statystyki nieco spadły, a co tu ukrywać, że to była i jest w firmie megaważna sprawa. Tylko że natychmiast handel przeniósł się „na telefon” – handlarze przyjmowali zamówienia i sami dowozili towar klientom, do Internetu i na ulicę.

Piotr opowiada, że miasta opanowały wówczas rozklekotane busy i kampery, w których działały mobilne punkty sprzedaży.

– Nie mogli się rozłożyć z kramem oficjalnie, by nie występować do gminy o zezwolenie na handel. Bawili się więc z nami w kotka i myszkę, czasem przez kilka godzin, co jakiś czas przemieszczając samochód dosłownie o kilka metrów w jedną lub drugą stronę.

– Dużo ich było?

– Oj, dużo. Trudno oczywiście rzucać teraz liczbami, ale było to jak fala, która zalała drobiny piasku. Ten piasek to byliśmy

my... Co gorsza, to zamieszanie zrobiło dopalaczom niesamowitą reklamę. Ci, którzy wcześniej o nich nie słyszeli, teraz mieli o czym myśleć i chętnych, by spróbować, przybywało.

\*\*\*

Wszystko, jak mówi Piotr, objaśniało się o skład, o recepturę tego świństwa. Początkowo badano te środki standardowymi narkotestami, które na szczęście były bardzo uniwersalne.

– Co z tego, skoro natychmiast w składzie dopalaczy nie było żadnej z zakazanych substancji – dopalacz był „czysty”. Zgodnie z obowiązującym prawem nie można było tego gościowi zabrać ani, teoretycznie, nic mu zrobić. Ta bezsilność bywała ekstremalnie wkurzająca.

Zdarzało się ponoć, że bardziej zawzięci gliniarze, gdy nerwy ich nieco poniosły, próbowali dać delikatnie do zrozumienia handlującym kolesiom, że mają ich na oku. Wiele zależało od zaangażowania... Jedyłą metodą było wówczas po prostu uprzykrzenie im życia i choćby delikatne dokopanie w dupę, by przeszkodzić im w działaniu. Najprościej oczywiście było postawić radiowóz w pobliżu takiego mobilnego punktu sprzedaży. To odstraszało potencjalnych klientów. Zdarzały się ponoć i takie akcje, że „fura” dilerów nagle traciła powietrze w kołach albo pojawiała się pod nią obleśna plama przepalonego oleju samochodowego, za co można już było odholować auto na parking za zatruwanie środowiska czy nałożyć parę złotych mandatów. Nawet za tak błahy wypadek, jak zbyt długa praca silnika w trakcie postoju...

Porażające, jak potwornie nieefektywne i bezradne było w tym układzie prawo, które nie dawało w zasadzie żadnego formalnego argumentu i narzędzi do działania.

\*\*\*

Kim są dilerzy? Przeważnie to mężczyźni. Ale młody chłopaczek w dresowej bluzie z nasuniętym na czoło kapturem to już stereotyp. Może to być normalnie wyglądający i ubrany facet, który ma nawet ponad 50 lat.

– W życiu byś takiej osoby nie podejrzewał o handel dopalaczami – przekonuje Piotr.

Biorą się z różnych środowisk. Osiedlowych blokowisk, kibicowskich gangów, ale i „zwyczajnych” rodzin. Motywem jest oczywiście chęć szybkiego zarobku, choć bywa, że nawet gliniarza można zadziwić.

– Pamiętam, kiedyś zatrzymywaliśmy gościa po pięćdziesiątce, pracownika jednej z wielkich podwarszawskich fabryk, która upadła. Na bruku znalazły się tysiące ludzi. Kto mógł, uciekł na wcześniejszą emeryturę, część odnalazła się w ochronie, niektórzy mieli siłę przebicia, by założyć własny biznes, a on, żeby utrzymać rodzinę, został dilerem dopalaczy – wspomina Piotr. – Nigdy nie miał do czynienia z narkotykami, nigdy nie złamał prawa. Wszedł w interes, bo rodzina nie miała z czego żyć, a on wyczał na osiedlu młodego dilera. Zdobył się na odwagę i pewnego dnia poszedł do niego i zapytał, czy nie byłoby dla niego jakiej roboty. Była. Choć ponoć mocno się łamał, to sprzedawał dopałkę dzieciakom, które mogłyby być jego wnukami. Sprzedawał gdzie popadnie – park przy

gimnazjum, boisko przy liceum, stali klienci i małolaty z polecenia.

Po zatrzymaniu nie kręcił nawet przez sekundę. Przyznał od razu, że handluje. Nie jest złodziejem, nie jest rozbójnikiem, który połamie komuś kości i zabierze pieniądze. Traktował swoją nową profesję w kategoriach czysto handlowych.

– Nawet nie wiem, co się z nim potem działo. Myśmy się już dalej tymi sprawami nie interesowali. Jakby człowiek brał robotę do domu, toby w parę chwil ześwirował.

Handlują też oczywiście kobiety czy dwunastoletnie dzieciaki, które w myśl naszego prawa są totalnie bezkarne. Wiele osób przekracza cienką linię i szybko wpada w nałóg. Zaczyna się zatem zadłużanie u rozrzutnika. Masz do wyrobienia normę sprzedaży, jak w korporacji, a sam bierzesz i tak naprawdę jesteś bez kasy. Narastają karne odsetki, bo tam nikt się nie patyczkuje. Błędne koło, z którego nie masz po jakimś czasie ucieczki. Zaczynają się wtedy prostytuować. Jak Monika.

– Znałeś ją?

– No znałem. Ładna dziewczyna, mogła mieć dobre życie.

Monika dilowała, bo to dawało jej pieniądze na kosmetyki i zabawę. Niewiele więcej chciała od świata. Spróbowała na jakiejś imprezie. Potem jeszcze raz. W końcu hurtownik powiedział jej wyraźnie: „Dasz mi d..., pomyślimy, co zrobić, żebyś nie miała długów, a i działkę dostaniesz”. Potem stwierdził, że organizuje imprezkę i Monika ma przyjść, żeby obsłużyć gości, jeśli któryś miałby akurat potrzebę. Została k... Szybko się nią znudzili. Takich jak ona, dziewczyn i chłopców, było i jest mnóstwo.

\*\*\*

– Mnóstwo tych dilerów zauroczyło się wiadomościami o zarobkach „króla dopalaczy”. – Piotr uwalnia kolejne kłęby dymu. – Myśleli sobie, skoro on zarabia miliony, to ja też chcę, zostanę „gangsterem”, będę miał kasy po kokardę.

Dla Piotra, po 20 latach w operacyjnej, jest dość jasne, że „królem dopalaczy” mógł zostać w tamtym okresie niemal każdy.

– Kupę pieniędzy zarobili ci, którzy go na tego króla namaścili. Zwykły słup, jak przy przekrętach z braniem kredytów, tylko na większą skalę.

– Kto za nim stał?

– Oczywiście mafia. Ci ludzie widzieli w tym dobry interes, tym bardziej że prawnie nie niosło to ze sobą niemal żadnych konsekwencji, było bezpieczne. A prawdziwi gangsterzy, w przeciwieństwie do zwykłych rozbójników, już się na wymuszeniach i obrabianiu tirów dorobili. Teraz chcą prowadzić jak najwięcej biznesów, które nie będą im przynosić zagrożenia. Dopálacze doskonale się do tego nadawały. Jeśli z zainwestowanego miliona robi się dość szybko dziesięć czy piętnaście, odpowiedź masz prostą. Głupi by się nie zgodził.

Piotr dodaje, że ta nasza mafia to nie tylko mięśniaki, ale teraz dobrze wykształceni, inteligentni ludzie, którzy zatrudniają masę zdolnych prawników.

– Mają też swoich chemików, którym płacą kolosalną kasę za to, żeby te produkty były legalne. Wciąganie kolejnego

składnika na zakazaną listę powoduje, że oni na jego miejsce znajdują dwie nowe substancje. Niekończąca się historia.

Zrobić dopalacz nie jest zresztą tak trudno. Mafijne laboratoria, normalne linie produkcyjne, działają na dużą skalę i profesjonalnie. Ale są tacy, którzy mieszają dosłownie to, co znajdują w swojej domowej apteczce, i szukają potem jelenia, któremu to wcisną, póki ktoś im d... nie skopie za ładowanie się w interes. Mogą potem ewentualnie zostać normalnymi dilerami. Tak jak jeden młodziak, którego nakryli koledzy Piotra.

– Chłopak robił eksperymenty we własnym pokoju – „mały chemik”, psia jego mać. Tak eksperymentował, że dodawał do tych swoich wynalazków nawet trutkę na szczury, którą w piwnicy rozkładała administracja budynku.

\*\*\*

Diler dostaje popakowany towar, rozrzutnik, czyli hurtownik, mówi mu, za ile ma to sprzedać, i tyle. Oczywiście działa tu także zмова cenowa rynku. Jak w każdej branży. Nie zahandlujesz taniej czymś, co kosztuje dziesięć złotych za porcję, a jeśli tak, to krótko. Pojawi się ktoś, kto szybko postawi cię do pionu. Albo tak cię wyłomocze, że pionu nie złapiesz już nigdy.

– Zdarzały się i zdarzają tego typu przypadki. Jak na normalnym rynku narkotykowym. Jest rejonizacja, każdy pilnuje swojego terenu i nie lubi, gdy mu konkurencja robi koło pióra.

Zatrzymanie rozrzutnika, co czasem się zdarzało, nie robiło na takim gościu wielkiego wrażenia.

– Rzadko któremuś brewka dygnęła. Bardziej bał się swoich przełożonych, gdyby wpadka oznaczała duże straty finansowe, niż konsekwencji prawnych. Niejako miał to wliczone w ryzyko zawodowe.

Układ jak w typowej piramidzie. Ten na dole zna jedynie „kierownika-rozrzutnika”, ten większego szefa wyżej, zaś ten z kolei większego bossa, który rozlicza się z jeszcze większym bossem. Gdyby się coś działo, ślad urywa się natychmiast, nie ma łańcucha kapowania. Nikt nic nie wie. Do tego dochodzi podział narodowościowy. Na samym dole tej piramidy Polacy sprzedają Polakom, Ukraińcy Ukraińcom, Gruzini Gruzinom, a Ormianie nie wchodzą innym w paradę i obsługują swoich. Choć ci ostatni najczęściej kontrolują rynek automatów do gry, nie jest dla nich ujmą na honorze zarobić parę złotych także na dopalaczach. I to dla nich przeważnie pracują Czeccy. Im wyżej w hierarchii, tym bardziej te układy są skomplikowane i pokręcone. Na szczytach, obok Polaków, najwięcej jest Rosjan. Teraz znaczna część tego biznesu przeniosła się do sieci. W Internecie, całkiem oficjalnie, można zamówić produkty „kolekcjonerskie”. Ale większość handlu, tego na wyższym poziomie, odbywa się poprzez sieć TOR<sup>2</sup>. Tam dostać można dosłownie wszystko, z bronią włącznie, i cholernie trudno nad tym zapanować.

---

<sup>2</sup> Tor (ang. The Onion Router) – sieć komputerowa zapewniająca anonimowy dostęp do zasobów Internetu.



– Dilerzy i hurtownicy są pilnowani, sprawdzani, wcale nie jest łatwo wyskoczyć z takiego interesu. Ci, którzy próbują, kończą w szpitalu albo gdzieś pod wodą, ewentualnie muszą zapłacić. Tylko że to nie jest wówczas umowa dżentelmeńska, a bardziej spirala przypominająca film „Dług”. Pieniądze, i to ogromne, mają z tego ci na górze. Na dole bywa różnie, czasem tak, że szeregowy diler zarabia grosze.

– A szkoły?

– No tak, drażliwy temat. Niestety prawie w każdej jest ktoś, kto ma coś do sprzedania. Pamiętam takie wzorcowe liceum na Bielanach w Warszawie, które pokazywali w telewizji jako superbezpieczną szkołę, jakieś certyfikaty jej przyznawali, dyrekcja udzielała wywiadów w telewizji. Kiedy dostaliśmy sygnał i zaczęliśmy pracować przy tym operacyjnie, wyszło, że był tam duży problem związany z przemocą, a w sąsiadującym z budynkiem parku bez problemu można było dostać fikkę z ziołem czy torebkę dopalki.

– Czy coś się zmieniło?

– Dopalaczy jest na mieście pełno. Pełno! Bez problemu można je kupić już za pięć czy siedem złotych. Gdybyśmy teraz wyszli na miasto, pokazałbym ci, kto tym handluje. Nie dlatego, że ich wszystkich znam – wyczuwam tych gości z daleka.

– Nie ma na to sposobu?

– Nie wiem, trudna sprawa. Prawo jest wciąż dwa kroki za tym, co robią przestępcy.

## Odsłona szósta

---

### *Arek*

Arek chodził na judo od pierwszej klasy podstawówki do końca szóstej. Mistrz Polski juniorów młodszych.

– Wszystkie zawody były moje. Ojciec mówił: bez pierwszego miejsca nie przychodź. Był medal, dyplom... Piękne chwile. Pamiętam, jak czasami nas zabierał na ryby, pod namiot. To było to, czego mi brakowało. Ojca i przytulania, nie bicia. Ale on po alkoholu nie patrzył na nic.

Arek miał 13 lat, jak padł pierwszy raz od wódki. Potem doszedł klej. Nos to była brama do innego świata – bez lania od ojca i płaczu mamy. Arek przechodził do tego świata, kiedy tylko mógł.

– W domu nie dało się wytrzymać. Ojciec był katem. Cokolwiek bym zrobił, dostawałem wpięrdziel. Pijany zawsze coś znalazł. Chciałem zakrzyczeć to wszystko...

W wieku 15 lat miał kłopoty z wątrobą i pocięte ręce.

– Dostałem żółtaczkę pokarmowej i trafiłem na oddział zakaźny. A tam pracowała mama. Przychodziła trzy razy na dzień, starała się, ale nie chciałem z nią gadać, strasznie ją traktowałem.

Któregoś dnia lekarka zobaczyła ręce Arka.

– „Już ja wiem, jaka to jest żółtaczka”, powiedziała i przenieśli mnie na inną salę, gdzie było sześciu narkomanów.

Usłyszał, że kolegom ze zbiórki wyszło za mało na heroinę, którą dilerzy donosili do szpitala.

– Mówię do nich: „Dam kasę, ale muszę spróbować...”. Na początku nie chcieli. Prosilili o pożyczkę, obiecali oddać. Ja twardo: „Nie ma takiej opcji!”. Pamiętam jak dzisiaj: w małej strzykawce dwójce chłopak podał mi trzy kreseczki. Wymiotowałem strasznie, kręciło mi się w głowie, po prostu masakra. Ale ja z głupiej ciekawości łebka chciałem tak spróbować jak oni, żeby nie wymiotować. I próbowałem...

W szpitalu Arek poznał Anię z Olsztyna. Zakochali się. Ale kolejne badania wypadały gorzej i zamiast trzech tygodni w szpitalu był tam trzy miesiące.

– Załapałem żółtaczkę B, później C. W końcu mnie jakoś wypisali. Ale wtedy byłem już stuprocentowym narkomanem, uzależnionym od heroiny.

Po wyjściu Arka ze szpitala umarła Ania.

– Boże, ona dopiero zaczynała ćpać...

Na pogrzeb Ani pojechała tylko mama Arka.

– Nie chciałem żadnej świadomości. Odpędzałem myśli. Z bólu na głodach traciłem przytomność. Budziłem się, widzę świt. I nie wiem, ile leżałem – parę godzin czy parę dni? Bez pieniędzy, bez niczego. Myślałem tylko, gdzie ukraść... Z domu wyniosłem, co mogłem. Mama nie dawała rady na to patrzeć, więc jak wychodziła do pracy, kładła mi parę groszy albo jedzenie.

Życie Arka stało się nie do wytrzymania. Zaczął myśleć o pomocy, o szukaniu ośrodków z terapią...

– Ale zawsze się okłamywałem: jeszcze dzisiaj... jeszcze z dwa

centy, żeby tylko lepiej się poczuć... A potem już pójdę do Monaru, do ośrodka... Nie wiem nawet, w ilu byłem. Do niektórych wchodziłem i wychodziłem od razu, do innych nawet nie dojeżdżałem albo wytrzymałem kilka dni. Detoksów nie liczę.

\*\*\*

Między 17 a 30 rokiem życia Arek na przemian ćpał i podejmował kolejne leczenia. Jak skończył trzydziestkę, przyszły dwie wiadomości: że jest seropozytywny i że zostanie ojcem.

– Jako dzieciak zawsze mówiłem sobie: nie chcę być jak mój ojciec, będę dbał o rodzinę, będę pracował, żeby mieli wszystko. I te marzenia prysły. A wtedy to wszystko do mnie wróciło. Powiedziałem sobie: to jest ten moment. Przecież dziecku nie mogę robić krzywdy.

Gdy Kuba się urodził, Arek trafił na terapię. Udało mu się wyjść z głodów. Choć miał jedną wpadkę z piwem, to wszystko zaczęło się układać. Wychowywał małego Kubę razem ze swoją mamą...

– Brat złożył wniosek o odebranie mi syna, ale sąd go odrzucił, a ja zgodziłem się na kuratorów. Brat przez cztery kolejne niedziele przyjeżdżał do mnie... wyszedł z Kubą, coś mu przywiózł... Jak się potem okazało, miał plan. Wpadł nagle z dwoma policjantami, skopali mnie. Uciekłem jeszcze do samochodu, tam uderzył mnie w brzuch. Uczepiłem się progu i włókł mnie, cały bok miałem zdarty... Gdybym nie urwał tej listwy, może by mnie wtedy zabił. I już od tamtej pory nikt mi nie mógł pomóc. Walczę cały czas.

Arek trafił do więzienia, bo sąd odwiesił mu wcześniejszy wyrok za kradzież z pobiciem: dwa lata już bez zawieszenia.

– Kiedy brat porwał mi syna, mieliśmy ustalone sądowe kontakty z Kubą. Byłem na spotkaniu z małym w McDonald’cie, jak po mnie przyjechali. Wszystko przy dziecku. W zasadzie moja walka o syna to jest walka o jego prawa. Nie moje, bo te są zdeptane. Nie widzę już większych szans, bym mógł być normalnie traktowany ze względu na moją przeszłość... Jak wszedłem na pierwszą rozprawę o syna, pani sędzia powiedziała:

„Pan jest seropozytywny HIV?” „Tak”. „To ja nie widzę możliwości, żeby pan dotknął syna. A już na noc go wziąć – absolutnie”. I złożyła wniosek o opinię biegłego lekarza sądowego na ten temat. Po czym za miesiąc go wycofała. Uśmiechała się, mówiąc, że ona sobie poczytała i nic nie stoi na przeszkodzie... Pisałem potem do prezesa sądu skargę na panią sędzię i okazało się, że nie ma śladu ani po tym wniosku, ani po protokole... Papiery są poprzerpinane i nie mam nawet jak tego udowodnić.

Kuba ma teraz dziewięć lat. Gaja, córka Arka, skończyła dwa.

– Pierwsze spotkanie z Kubą po prawie trzech latach to był dla mnie szok. Współpracowałem z psychologiem jeszcze w więzieniu: jak mam z tym dzieckiem rozmawiać, żeby mu traumy nie zrobić. A chłopak mnie wyręczył ze wszystkiego! Spotkaliśmy się: cześć, cześć! Pamiętam, uśmiechnął się trochę. – „To chodź – mówię – usiądziemy, porozmawiamy”. To było tutaj przy Ośrodku Interwencji Kryzysowej. I poszliśmy za róg budynku, gdzie była ślizgawka. On tak na mnie patrzy i mówi: „Wiesz co, ja pamiętam, jak żeśmy chodzili na zjeżdżalnię, tylko ona była taka duża...”. – Kuba przypomniał sobie. I on

zaczął ze mną rozmawiać, wspominać... Jak żeśmy szli na giełdę warzywną z moją i z jego mamą. On w wózku... gdzieś jakieś gruszki były... On chciał po nie iść, a tu pajęczyna... Tak bardzo się wystraszył, a potem żeśmy się wszyscy śmiali... I w takiej luźnej rozmowie zapytałem go o babcię. W tym momencie mój brat nie wytrzymał i wyrwał go z huśtawki. Przerwał spotkanie. I tak było kilka razy. Przyjechałem z malutką Gają kiedyś. Też nie zgodził się na spotkanie, znów go wyrwał. Miałem dla dziecka prezenty... Mój brat powiedział, że dziecko z dzieckiem ma mieć prawnie ustalone kontakty. Gaja miała wtedy sześć miesięcy. Paranoja! Mój brat zostawił swoją żonę i własnego wtedy nieletniego syna. Jest z kobietą znacznie od siebie młodszą, nie mogą mieć dzieci. Dla mnie krok po kroku wszystko zaczęło nabierać jasnego obrazu. Stała się dla niego mamą, on tatą.

Arek czekał półtora roku na rozprawę o zmianę kontaktów z synem.

– Wyznaczyli mi spotkania dwa razy w miesiącu, ale u tej pani w domu, gdzie syn jest nielegalnie zameldowany. Jak ja mam tam pojechać i powiedzieć: „Niech pani teraz wyjdzie ze swojego domu, bo ja mam tutaj spotkanie z synem wyznaczone”? Paranoja za paranoją! Ale to są wszystkie konsekwencje tego, że piłem, że ćpałem, kradłem, siedziałem w więzieniu, że niszczyłem ludzi, tak samo jak własną rodzinę.

Poniekąd nie dziwię się bratu. Pewnie chciałby mieć innego brata. Ja też chciałbym innego... Ale tak naprawdę akceptuję go, jakim jest, co by mi nie zrobił. Choćbym miał tego mojego chłopca nie odzyskać...

Rodzice Arka zmarli jedno po drugim w ciągu 22 dni.

\*\*\*

Co się stało, że przestałem ćpać?

– To był proces, straszna walka. Zaczęło się od Kuby. Kiedy miał się urodzić, zobaczyłem światełko też dla siebie. Dziękuję Bogu, że mnie do tego więzienia wrzucił... Tam też były osoby, które jakieś prochy brały, trawę przemycali... Tylko ja już postanowiłem i trzymałem się od nich z daleka.

Arek przebywał w kilku więzieniach. Jak był w Przywarach, trafił na terapię.

– Chciałem tego. Bo ja w każdym zakładzie karnym, choćbym tam był dwa tygodnie czy miesiąc, zaraz miałem kontakt z psychologiem. Musiałem usiąść, pogadać. I cały czas walczyłem o syna. Najwięcej skorzystałem z Rakowieckiej, bo tam były osoby z Biura Rzecznika Praw Dziecka. Więc mogłem poprosić o jakąś pomoc.

Był na terapii trzy miesiące. Sytuację w więzieniu, gdzie ciągle był przez współwięźniów upokarzany, potraktował jak test dla siebie.

– Zacząłem się modlić. Mówiłem: „Biorę to, co mi Bóg daje”. Już zacząłem widzieć, że ta szansa jest w zasięgu mojej ręki. Tylko mam się trzymać. Bóg przecież nie wysyłał ich, żeby na mnie pluli i mnie obrażali... I czym dłużej to się działo, to mnie to więcej nakręcało. Przysięgłem sobie: nie macie szans! Ja już wiem, co chcę robić.

Arek jest „czysty” od 14 grudnia 2009 roku, kiedy trafił do więzienia.

– Wtedy zacząłem tę trzeźwość taką już w głowie. Zdecydowałem coś. Oddałem to Bogu, powiedziałem: zrobię

wszystko, przeżyję wszystko, ale pomóż mi, bo ja nie dam rady sam. Już siódmy rok teraz się zaczął. Tak jak i walki o syna. Nie wiem, czy gdyby mnie nie zamknęli, tobym sobie dał radę...

\*\*\*

Arek wspomina dzień, kiedy miał może dziesięć lat. Mieszkanie przy Waszyngtona. Sześć schodków z klatki, parter.

– Ojciec wrócił po pierwszej zmianie pijany. Wziął gumowy wąż i chciał nas łąć. Mama stanęła w drzwiach i krzyknęła: „Uciekajcie!”. Drzwi zastawiła rękami, żeby nas nie dopadł, a my żeśmy pod tymi ramionami uciekli. Słyszałem na podwórku, jak ją bije, jak mama krzyczy. I jak ją potem kopie... Ona zawsze stawała za nami. Chociaż chucherko 47 kilo, ale taki twardziel. Potem, jak ćpałem, dużo ze mną rozmawiała, tłumaczyła mi: „Arek, po co? Dasz radę, zostaw to gówno...”. I moje życie teraz to mój pomnik dla niej. W dzieciństwie mama była za mną. Jak byliśmy łebkami, niczego nam nie brakowało. Zawsze zadbała, zawsze byliśmy najedzeni, oprani. Zawsze mogłem na nią liczyć. Nigdy mnie nie zostawiła. Potem ja, jako syn, powinienem być z nią, wspierać, zabezpieczać jej potrzeby. A to ona mnie, dorosłego chłopca, jak dziecko pielęgnowała... I jeszcze jej emeryturę kradłem nieraz.

Z czasem mama Arka sama zaczęła coraz częściej sięgać po alkohol.

– Przy ojcu się inaczej nie dało. Miała ciągi, potrafiła po kilka dni u znajomej sobie popijać.

Po wyjściu Arka z więzienia mama zaczęła chorować.

– Musiałem w nocy dyżurować. Rano przychodziła ciocia, a ja



leciałem do pracy. Mama widziała, że ja te noce zarywałem dla niej. Po pracy znów przychodziłem i byłem cały czas obok... Z dnia na dzień widziałem, jak rośnie w niej pewność: to jest ten mój syn...

Ale stan mamy pogarszał się. Płuca. Cztery pobyty w szpitalu.

– Było coraz gorzej, potem już koncentrator tlenu w domu. A za czwartym razem nie wyszła. Rano dostaję telefon, że ją przewieźli na OIOM. Pojechałem, ona pod tymi rurkami. Szok... Po dwóch tygodniach zrobiła nam prezent i obudziła się na święta. Przyjechała Lidzia, moja narzeczona, porozmawialiśmy. Mama już sama oddychała. Dała nam wtedy tyle radości... Jeszcze Nowy Rok – było super. Już się lepiej ruszała, wstawała. I nagle przyszło załamanie. „Arek, zabierz mnie do domu” – poprosiła. „Dobrze, tylko poczekaj – mówię – lepiej się poczujesz...” „Już jem, już lepiej, już mogę...” „To fajnie – mówię – ale dopiero dzisiaj zaczęłaś... Kilka dni, jak będziesz mogła lepiej połykać, ja cię zabiorę, mamó, obiecuję”. Ale na drugi dzień już nie można było rozmawiać. Stan mamy bardzo się pogorszył. Po całym dniu w szpitalu wróciłem wieczorem do domu. Spojrzałem na zegarek, była dwudziesta trzecia. Tak jakoś dziwnie się poczułem. Położyłem się. Za pięć minut dzwoni telefon. Mama zmarła o dwudziestej trzeciej.

Arek zdążył przeżyć z mamą 15 trzeźwych miesięcy. Pracował, oddawał mamie pieniądze. Miał plany, że pojedą gdzieś, że będą wędrować razem, zwiedzać...

– Nie wszystko się w życiu układa tak, jak byśmy chcieli. Ale wiem, że mama zamknęła oczy z tą pewnością, że wszystko ze mną okej. Że już nie potrzebuje mnie pielęgnować, faceta trzydziestoletniego...

\*\*\*

Arek zaręczył się z Lidzią na weselu u przyjaciół. Poprosił ją o rękę przy ponad stu gościach.

– Dwa dni na takim wiejskim weselichu, to wiesz, ile wody popłynęło! A ja nie! Szampan stoi w lodówce od zeszłego sylwestra...Poznałem ją 20 lat temu. Ale wtedy myśmy się widzieli tylko pół roku. Potem na 17 lat straciliśmy kontakt. Aż spotkaliśmy się przypadkowo w Chorzowie w poradni AIDS. Nie poznałem jej, dopiero po głosie...Wymieniliśmy się telefonami. Ona też miała taki związek, że ktoś zaczął grać i ćpać... Pierwsza randka była... Potem przyjechała do mnie pierwszy raz. Pamiętam, moja mama siedziała, Lidzia weszła. A ja obserwowałem: polubi czy nie... Patrzę, a moja mama się uśmiecha. Mogłem sobie iść, one sobie rozmawiały... Z żadną kobietą wcześniej tak nie było.

Czasem Arek z Lidzią wspominają przeszłość.

– Wtedy płacę jak baba... Ale jak płacze prawdziwy mężczyzna, to musi być święto...

Mogę teraz patrzeć w przód i realizować to, co mama by chciała. A wiem, że ona by chciała, żeby było tak, jak jest teraz. Pracujemy z żoną na zmianę w Holandii. Spłacamy kredyty. Kiedyś brałem chwilówki, 500 czy 800 złotych. Oszukiwałem, jakieś oświadczenia pisałem, byle dali... Teraz wiem, że wziąłem kredyt, to muszę go spłacić. Pracuję na mieszkanie, czynsz, światło... Żona to wszystko ogarnia. To jest coś niesamowitego. Jako dziecko widziałem, jak mama miała te problemy. Mówiła: „Ojej, muszę jeszcze zapłacić prąd, wodę... A tu nie ma... będą pieniądze, nie będzie pieniędzy...”. Teraz mam tak samo. Dzisiaj byłem u faceta, u którego pracowałem i miałem dostać 500 złotych. Dostałem 210. Jak mi zaczął

wyliczać... Nie chciałem z nim gadać. Wiedziałem już, że żona będzie miała pretensje, bo się nie odezwałem. Ale czasami wolę milczeć, żeby nie przyszło stare zachowanie. Wolę w spokoju wziąć mniejsze pieniądze, podziękować, wyjść. Już mnie tak z siedmiu pracodawców oszukało.

Arek nie chce więcej ani pić, ani ćpać. Stara się pomagać uzależnionym. I jest w tym bardzo dobry, bo przeżył dwie ery narkotyków.

– Myśmy robili kompot. On był nielegalny, wiadomo, opiaty, narkotyk... Nie było wątpliwości. A teraz policjant łapie człowieka z tabletkami i mu nic nie może zrobić. Bo oni mają prawników, lekarzy, farmaceutów, którzy patrzą, jakie składniki są dopuszczalne, a jakie nie. Zmieniają jeden produkt i do widzenia. Nowy skład i nic zabronionego nie ma. Nie można im nic zrobić, zarabiają miliony. A młodzi ludzie umierają w wielkich mękach.

Arek nigdy w życiu nie brał dopalaczy, bo jak zaczął być trzeźwy, dopalaczy jeszcze nie było. Ale był przy śmierci swoich kolegów, którzy brali dopalacze. Widział mnóstwo śmierci...

– Denerwuje mnie, jak słyszę, że umarł młody człowiek po dopalaczach. Bo to nie było tak, że on sobie wziął tabletkę i usnął. On miał popalone wnętrzości, z odbytu poleciało mu wszystko, co miał. Albo zwymiotował wnętrzościami. I rzucanie sloganem, że umarł siedemnastolatek po dopalaczach, jest nie w porządku wobec tych ludzi. I wobec tych, do których ma dotrzeć ten przekaz. Wyciągnijmy wnioski, powiedzmy tym młodym ludziom, w jaki sposób on umarł. Bo oni jak czytają „umarł po dopalaczach”, to może myślą, okej, to ja wezmę pół dopalacza, to nie umrę. A tu nie ma pół czy cały. Nie wiesz, na

co trafisz. Może to jest paranoja, ale kiedyś, jak tylko wziąłem strzykawkę, wiedziałem, jaki jest towar. Teraz nie wezmę tabletki i nie zobaczę, co w niej siedzi. Łykam i nie wiem co. Może będzie mi dobrze, może odleczę. A może pójdę do trumny. Więc zanim weźmiesz tę tabletkę, to pomyśl, czy cię matka zobaczy jeszcze i czy ty zobaczysz matkę...

Arek uważa, że z młodymi ludźmi trzeba rozmawiać, pokazywać przykłady takich, którzy przeżyli. I on sam chce to robić, chce być takim przykładem.

– Kiedyś sobie powiedziałem: jeśli kiedyś będę mógł pomóc, jestem do dyspozycji. Warto się odwdziaczyć za to, co samemu się dostało w życiu. Chciałbym, żeby ludzie uniknęli tych konsekwencji. Jest ogromne zagrożenie, z którego ja zdaję sobie sprawę, bo to przeżyłem, byłem w środku tego bajzlu. To jest tak, jakby człowiek był w środku śmierci. Jesteś w piekle, w którym tu ktoś umiera, tu ktoś umiera... Ktoś ci na kolanach umiera... Ludzie po prostu padają... Jak w to wchodzisz, to musisz być świadomy, że niebawem zobaczysz, jak ktoś odchodzi albo sam będziesz następny do prosektorium.

\*\*\*

Arek mówi, że wolność stracił dwa razy.

– Pierwszy raz to narkotyki, a drugi – więzienie. I narkotyki są gorsze. W więzieniu masz wyrok, siedzisz, brama się otwiera, wychodzisz. A w épaniu ani nie wiesz, jaki masz wyrok, ani nie wiesz, czy w ogóle wyjdiesz... I często – nie wychodzisz, tylko w tym więzieniu umierasz...

Arkowi się udało, mimo strasznych konsekwencji. Teraz czuje się nagradzany.

– Nie wiem dlaczego, za to wszystko, co zrobiłem złego... Mam wspaniałą żonę, piękną kobietę, mam teraz cudowną córkę. Chociaż oboje jesteśmy seropozytywni HIV, ona na szczęście urodziła się zdrowa. Kuba też... I moja wątroba, choć nie mam pojęcia, jak ona jeszcze funkcjonuje, na razie jest okej. Jak zacząłem żyć innym życiem, to inne rzeczy dostaję... Jakbym się jutro dowiedział, że zostało mi pół roku życia, bo HIV przeszedł w AIDS, to pewnie bym beczał strasznie. I tłukł się po głowie, że jeszcze tego nie zrobiłem, tamtego... A tyle jeszcze bym chciał zrobić dla dzieci i żony...

## Odłona siódma

---

### *Ośrodek zamknięty*

*Tak długo będę uciekał i bał się, dopóki nie odważę się zobaczyć siebie w oczach i sercach innych. Tak długo będę cierpiał i bał się, dopóki nie podzielę się z innymi swoimi tajemnicami. Jeżeli nie zaufam, będę sam. Tylko w tym miejscu będę mógł zobaczyć siebie jak w zwierciadle. Tylko tutaj nie muszę być gigantem z moich marzeń czy karłem z moich strachów. W tym domu jestem częstką społeczności, dzieląc z rówieśnikami cele i codzienny trud. Zapuszczając tu korzenie, mogę rozwijać się i tworzyć, nie będąc już dłużej samotnym. Pomagając innym, mogę też odnaleźć siebie.*

[Filozofia Ośrodka Rehabilitacyjno-Wychowawczego dla Młodzieży Uzależnionej w Częstochowie oraz wielu innych społeczności terapeutycznych w całej Polsce]

Wszyscy mają mniej niż 17 lat. W częstochowskim ośrodku są od kilku dni, tygodni albo miesięcy. Niektórzy kolejny raz. Siedzimy w sali terapeutycznej. Mówią, że chcą opowiedzieć o

tym, o czym wiedzą najwięcej: o dopalaczach i o tym, jak się od dopalaczy uratować.

**– Dlaczego tutaj jesteście?**

**Romek:** – Zdałem sobie sprawę, że za daleko wszystko zabrnęło i nie chcę już tak żyć. Miałem dość samego siebie, kiedy nie umiałem się ogarnąć, bo na przykład trzy tygodnie nie było mnie w domu... Przyznałem sam przed sobą, że mam problem, i jestem tutaj.

**Krzysiek:** – Doświadczyłem tego, że to jest dla mnie duży problem. Byłem tutaj siedem miesięcy, wyjechałem i z dnia na dzień znowu zacząłem brać. To było bardzo trudne. Teraz żałuję tego. Mam zamiar się leczyć.

**Arek:** – W nietrzeźwym życiu jedyne rozwiązanie to brać narkotyki. A jedyny problem jest, jak się ich nie ma. A w trzeźwym życiu można rozwiązać problem przez rozmowę z ludźmi. W trzeźwym życiu są jakieś wartości, w nietrzeźwym – tylko narkotyki.

**– Przyszedłeś tutaj nauczyć się tego?**

**Arek:** – Miałem dość samego siebie. I tego stanu, do jakiego się doprowadzałem. To mnie przerastało. Czułem, jakby nie było mnie we mnie.

**Bartek:** – Byłem kiedyś w psychiatryku. Mniej brałem, ale i tak brałem. Dosyć często, co tydzień. Później częściej. Brałem i miałem wszystkiego dosyć. Myślałem, że życie mi się nie układa, że z dziewczyną mam kłopoty. Po prostu nie dawałem sobie rady. Byłem zazdrosny... chodziłem, szpiegowałem... Złe rzeczy się ze mną działy i cieszę się, że tu jestem, bo mogę leczyć swoje ćpuńskie nawyki. I myślę, że mam trudności z różnymi rzeczami.

**Adrian:** – Przyjechałem tutaj, żeby coś zrobić ze sobą. W starym życiu nie było już dnia, żebym nie ćpał... Nie ogarniałem tego. To zaszło tak daleko, że zacząłem wynosić rzeczy z domu. Po prostu kradłem. I pomógł mi w tym wszystkim ojciec. Starał się, żeby było dla mnie jak najlepiej, a ja go nie tolerowałem... Przyjechałem tutaj i spodobało mi się. Miałem przerwę, bo byłem tutaj dziewięć miesięcy i musiałem wyjechać. I zauważyłem przez te trzy tygodnie na wolności, że przepracowałem wszystko na tyle, by być trzeźwym. Ale mimo wszystko chciałem tutaj wrócić, bo nie jestem naprawdę gotów. Myślę, że trzech miesięcy na wolności bym jeszcze nie dał rady... Mam tu nadal sporo do zrobienia, chociaż czuję, że już dużo osiągnąłem.

**Nina:** – Na początku brałam dla zabawy. Później – żeby zapomnieć. A na koniec z przymusu. I w pewnym momencie zauważyłam, że one mi już nie dają takiej frajdy jak na początku. Zdecydowałam się na leczenie, kiedy zmarł mój tata. Nie miałam już okazji go przeprosić. Zauważyłam, że moja rodzina się ode mnie odwraca, bo po prostu już nie mieli siły. Podjęłam leczenie i nie żałuję tego, bo jest tutaj dużo osób takich jak ja i wspieramy się.

**Konrad:** – Ja miałem tak, że miałem raczej pieniądze i zero kontroli. Zaczęło się dla zabawy, a potem już poszło, stało się zwykłe, codzienne. I stwarzało coraz więcej problemów. A później już poleciałem na grubo, bo przestało mi się podobać, i targnąłem się na swoje życie kilka razy. Byłem w szpitalach psychiatrii młodzieżowej. W tym roku zacząłem się leczyć, jestem na leczeniu czwarty raz.

**Bartek:** – Znikałem z domu i moja rodzina sobie nie dawała ze mną rady... Było tak, że brat mnie bił, a ja rzygałem



wszystkim, co wziąłem. Z nosa lała mi się krew. Żle się czułem. A kiedyś mówiłem, że będę tylko palił marihuanę... Potem już weszły inne narkotyki. Koledzy mnie unikali. Przyjaciele też... Wylądowałem w psychiatryku. Mama mi załatwiła. Byłem tam trzy miesiące. Wyszedłem, miesiąc byłem czysty, miałem dziewczynę. I pierwsza jakaś kłótnia, i od razu – narkotyki. Co mnie wkurzało, to brałem. I tak cały czas. Sam sobie szukałem wymówki, żeby brać. A najgorsze, że w psychiatryku odbudowałem zaufanie u rodziny i normalnie już kieszonkowe dostawałem. A potem przyćpałem dopalaczem i wylądowałem w szpitalu. Mama się dowiedziała, że znowu biorę. To było bardzo ciężkie, bo znowu się czułem, jakbym był złym człowiekiem, znowu zawiodłem mamę. Ona myślała, że jestem trzeźwy, i patrzyła mi się w oczy, a ja unikałem tego wzroku, bo ją okłamywałem po prostu. Miałem już wcześniej taką zazdrość o dziewczynę, że co chwilę naćpany chodziłem ją kontrolować. Z poprzedniego ośrodka mnie wyrzucili. I popłakałem się mamie przez telefon, żeby po mnie przyjechała i żeby mi załatwiła jak najszybciej nowy ośrodek. Po czterech dniach tu mnie przyjęli. Myślę, że teraz się ułoży. Nie chcę brać narkotyków i nie będę ich brał. Skończę szkołę, dziewczyna będzie na mnie czekała... Dużo mam też wsparcia u rodziny, motywują mnie. Miałem przykład... mojego brata, też ćpał i wyszedł z tego. Już nie bierze. A jak byłem mały, to pamiętam, jak płakałem i miałem agresję do niego, że ćpał i wszyscy się martwią. Nawet go chciałem za to pobić wtedy... Później sam zacząłem to robić...

**– Jak to jest przyjechać do ośrodka na terapię? Pamiętacie swój pierwszy dzień tutaj?**

**Krzysiek:** – Ja się czułem dziwnie... Nie wiedziałem, czego się spodziewać. Jak tu jechałem, to myślałem, że będą jakieś kraty w oknach, drut kolczasty na płocie... Że wszyscy się będą bić i że nie będzie bezpiecznie. Jak przyjechałem, do furtki przybiegło dwóch kolegów, którzy skończyli już terapię. Jeden tutaj dalej mieszka w hostelu. A drugiemu się trochę nie poukładało. I sprawili na mnie wrażenie, że to są jakieś ważne osoby, że są tutaj kimś. I oni na początku dodali mi dużo otuchy. Jak wszedłem do budynku, to było wtedy sprzątanie i straszny zamęt. Byłem wszystkim tak przygnieciony, że zacząłem płakać. Ale potem się odnalazłem... Nie było tak strasznie.

**Mati:** – Ja byłem tu wcześniej dwa razy na konsultacjach. Raz przyjechałem nietrzeźwy. Mówiłem, że to wina moich rodziców, że oni zawinili. Krytykowałem ich strasznie. Potem, za trzecim razem, jak już zdecydowałem się na leczenie i przyszedłem na spotkanie się przedstawić, to bardzo płakałem. Pytali mnie dlaczego... Ja w sumie nie wiedziałem. Może miałem ochotę wrócić do domu i brać narkotyki? Po prostu nie wiedziałem do końca, co to jest leczenie i na czym polega. Do czego służy odmawianie filozofii z rana, zasady, warunki... Myślałem wtedy, że po prostu jest jedna regułka na to wszystko. A potem się okazało, że każdy z nas ma tutaj inaczej. Przyzwyczailem się do ludzi, oni dla mnie dużo znaczą. Traktuję to miejsce jak dom.

**Ala:** – Przyjeżdżając tutaj... w sumie to moja czwarta próba leczenia... Myślałam, że odsiedzę sobie do osiemnastki, że i tak mi się nie uda nic zrobić... Ludzie wydawali mi się sztuczni... Widziałam ich za taką mgłą, że oni nie chcą mi pomóc. Ale zaczęłam się otwierać. Najpierw na spotkaniach z terapeutą,

potem na grupie. Aż wyszło tak... Pomyślałam, że każdy może być trzeźwy, jeśli tylko tego bardzo chce.

**Waldek:** – Jak przyjechałem, to wiedziałem, z czym się zmierzę, bo byłem wcześniej w innym ośrodku, tylko mnie stamtąd wyrzucili. Na początku Krzysia się pytałem, gdzie jest siłownia. Od razu go polubiłem, bo był trochę napakowany. Pamiętam, jak Adrian z Waldkiem mnie przeszukiwali i zabrali mi rzeczy, których nie można mieć. Jakoś dziwnie było... Padał śnieg... Jak tu jechałem, to cały czas płakałem, bo tęskniłem za dziewczyną. Ale przywitanie było fajne i jest lepiej niż w moim poprzednim ośrodku. Ludzie są miłsi. Tam byli bardziej wredni. Czuję, że się leczę i pomagam też innym.

**Patryk:** – Mnie przywiozła policja z Wrocławia. Noc wcześniej zabrali mnie na izbę dziecka. I przez cały dzień się denerwowałem, bo wyobrażałem sobie ten ośrodek tak samo jak Krzysiek: że kraty w oknach i trzeba o wszystko walczyć. Myślałem: posiedzę tutaj, aż mi się skończy nakaz, i wyjadę jak najszybciej. A w sumie nakaz wczoraj mi się skończył i wczoraj tu przyjechałem znowu...

**Mati:** – Wyobrażałem sobie więzienie. Wchodzę do pokoju, a tu jak w jakimś filmie... wszyscy tacy sztuczni, nie? Wtedy doszedł do mnie Patryk. I się przedstawił. A ja w duchu – no nie, ja nie wierzę... to jakiś Disneyland. Wszyscy uśmiechnięci, wszyscy się witają...

**Nina:** – Zanim tu przyjechałam, byłam w placówce opiekuńczo-wychowawczej. Uciekłam. Dowieźli mnie policjanci. Po pięciu dniach uciekłam znowu. Znowu mnie przywieźli. I zostałam zamknięta w pokoju. Kazali mi podjąć decyzję: jadę czy nie. Byłam już trochę mniej przyćpana i zgodziłam się. W pierwszy dzień byłam jeszcze lekko

nietrzeźwa, przeszukiwali mnie Bartek z Szymonem. Cały czas się śmiałam jak głupia. Dziwiło mnie, że mi zabierają zmywacz do paznokci, lakier... Zdenerwowałam się nawet. Zaczęli mi tłumaczyć zasady. Nie rozumiałam w ogóle, co mówią. Potem doszłam do wniosku, że jakbym wcześniej wiedziała to wszystko, tobym nigdy nie zaczęła ćpać.

**Adrian:** – Jakoś pozytywnie się nastawiłem na przyjazd tutaj. Wcześniej gadałem z kierownikiem ośrodka i on mi z grubsza przedstawił terapię, jacy są ludzie, jak wygląda dzień. Czułem stres związany z nowym otoczeniem. Ale zostałem przyjęty bardzo ciepło. Akurat był wtedy obiad i tego obiadu się trochę przestraszyłem, bo tam eksperymentowali... chyba ty, Krzysiu, z Anią... Nie wiem, czy to było spaghetti, czy pomidorowa... chyba coś pomiędzy... Pomyślałem, że jak takie jedzenie będzie co dzień... (śmiech). I to chyba najbardziej mi z tego pierwszego dnia utkwiło. Nie wiedziałem, czego się mam spodziewać po ludziach. Ale jak widziałem, jak wszyscy są pozytywnie nastawieni i otwarci na nowe osoby, to spodobało mi się tutaj i jestem do dzisiaj.

**Bartek:** – Gdy tu jechałem, czułem dużo stresu. Bałem się, że trzeba o wszystko walczyć, że będzie dużo agresji. Jak zadzwoniłem do bramki, to przybiegł do mnie Mateusz. Się go przestraszyłem, bo to duży chłopak był. Później zaczęliśmy gadać i ludzie do mnie podchodzili... wszyscy zaczęli się witać ze mną. To było takie dziwne i miłe. Szybko się przyjąłem.

**– Terapia przynosi zmianę, ale często bywa trudna. Jak było u was?**

**Bartek:** – Jak musiałem opuścić ośrodek. Była to moja druga próba leczenia. Przyjechałem w grudniu zeszłego roku i byłem tutaj coś około trzech i pół miesiąca. Byłem strasznie

agresywny i nie chciałem sobie dać pomóc. Uciekałem od ludzi, chciałem być sam, nie potrzebowałem nikogo. I społeczność z kadrami podjęła decyzję, że muszę opuścić ośrodek i zrobić kilka badań neurologicznych. Byłem zdeterminowany i udało mi się utrzymać abstynencję w tej przerwie. W badaniach wyszło, że muszę brać leki, bo miałem pozatykane naczynia krwionośne w mózgu. Wróciłem tutaj i to było też trudne, bo widziałem ludzi, którzy byli przyjmowani, i oni szybciej przechodzili na nowe etapy, a ja nie. Ale obróciłem to sobie później w motywację, że to nie jest czas stracony.

**Waldek:** – Najciężej było z przedstawieniem życiorysu. Bo takie tutaj też mamy zadanie. Nigdy nie przedstawiałem tego, co kiedyś robiłem, jak żyłem, jakie miałem dzieciństwo... Najbardziej bałem się opinii innych i jak ja to sam przeżyję. Ciężko mi było. Ale wiem po czasie, że tak naprawdę te strachy nie były takie, jak sobie wyobrażałem w głowie. Ludzie wykazali dużo zrozumienia i całkowicie inaczej to widzieli, jak ja widzę.

**Krzysiek:** – Najcięższym momentem zawsze są wyjazdy. Trochę ich miałem. I mimo tego amoku że wyjadę, spotkam znajomych, zaćpam... Mimo tego całego szczęścia jest osobista porażka, którą się ponosi, wyjeżdżając stąd. To jest chyba najcięższe. Wyjeżdżając wypisem karnym.

**Patryk:** – Dla mnie najtrudniejszy był przyjazd tutaj, nie wyjazd. Bo było mi bardzo ciężko tutaj wrócić. Nie miałem motywacji w ogóle do leczenia, jak już zasmakowałem tego życia starego. Ale przełamałem się i jestem znowu.

**Nina:** – Ja miałam dwie takie sytuacje: jedna, jak nie wiedziałam, czy zostanę wyrzucona, czy nie. A druga, jak przyjechała do mnie rodzina i trudno było się z nimi rozstać.

Cały czas kłębiły mi się potem myśli: co oni robią, jak żyją... Martwiłam się o to.

**Mati:** – Dla mnie najtrudniejsze było zabranie się za leczenie po pierwszej ucieczce, kiedy nawiałem stąd. A jak wróciłem, to już miałem podjętą decyzję o wyjeździe, po prostu. Miałem wrażenie, że ludzie tutaj przekonali się, że już nie odbuduję tego, i zawsze będą na mnie patrzeć inaczej. To było bardzo trudne, żeby podjąć decyzję, że tu jednak zostaję. Ale udało mi się. I ludzie mi mówią, że się zmieniłem. Bardzo dużo dała mi możliwość przejścia na kolejny etap. Warto było się zmienić i postanowić coś. Gdybym wyjechał, i tak bym musiał tu wrócić, bo nie udałoby mi się jeszcze życie na trzeźwo poza ośrodkiem. Nie jestem wciąż na to gotowy.

**Bartek:** – Moją trudną chwilą też był zyciorys. Terapeuta Rysiek znalazł taki czuły punkt, jak miałem osiem czy dziesięć lat. Chciałem zapomnieć o tym i zapomniałem, ale potem wszystko wróciło. Chciałem od tego uciec, ale ciężko mi było. Myślałem, że ludzie na mnie krzywo patrzą, że przyszedł tutaj taki... i na niczym mu nie zależy. Ciężko jest też z myślami, co tam się dzieje na osiedlu, co tam u mojej dziewczyny. To jest chyba najgorszy moment. Tęsknota... Jakbym mógł cofnąć czas, nigdy bym nie wziął dopalaczy. Ale wziąłem i się wkłęciłem. I jestem tutaj.

– **Co dało siłę, moment zwrotny?**

**Mati:** – Jak byłem w domu i robiłem sobie przerwę od narkotyków, wracało zaufanie rodziców. Widziałem, że już mi nie wypominają tego, co robię. To dawało taką motywację. Lecz namowy kolegów były silniejsze. Znów wziąłem, znów przyszedłem naćpany. Wszystko w gruzach... I tak było kilka razy. Ale to nie jest robota na dwa tygodnie, tylko trzeba coś

postanowić. Mam dość przepraszania rodziców nieszczerze, gdy byłem nietrzeźwy, żeby tylko robić takie fałszywe wrażenie. Po prostu nie chcę być hipokrytą, mówić inaczej i robić inaczej. Przepraszam dla nich będzie to, gdy się wyleczę i zmienię swoje życie.

**Bartek:** – Mnie motywację dało to, że tyle razy zawiodłem mamę... Postanowiłem, że skończę terapię i nie stanie się tak nigdy więcej. Dziewczyna mi też napisała, żebym tu został. Zostanę i nie będę uciekał od problemów. Motywacją jest też dla mnie to, że chcę mieć normalne życie, jak mój starszy brat. On jeździ za granicę i sobie dorabia... Wyjeżdża cały czas gdzieś na wakacje... Normalne życie chcę mieć, rodzinę, dzieci...

**Ała:** – Nie chcę popełnić błędu, który popełniła moja mama, bo ona była alkoholiczką. Myślę, że mama chciałaby, żebym była trzeźwa. Tak samo jak moja ciocia i młodsza siostra. Chcę być dla niej przykładem.

**Krzysiek:** – Mnie motywuje taka złość do siebie za to, że narkotyki były dla mnie ważniejsze niż rodzina. Żeby przyćpać, potrafiłem nawyzywać ośmioletnią siostrę, żeby tylko wyszła z pokoju. I ta złość do mnie... Pracuję nad tym cały czas, żeby to w coś innego przerobić. I to daje mi siłę, żeby się dalej leczyć.

**Nina:** – Dla mnie motywacją było, jak lądowałam co drugi dzień w szpitalu. I budziłam się, ale nie było przy mnie nikogo. Mama nie chciała już mnie odwiedzać. Siostra też. Potem znowu przychodziłam zajarana. Przywoziła mnie taksówka. Wypisywali mnie... Nawet mnie nie przyjmowali, tylko wypisywali, że w stanie dobrym. Mówili w szpitalu: dać pić, jeść i położyć do łóżka... Chociaż widzieli, że jestem zajarana.

I to, że jak przychodziłam do siostry zajarana, to jej dzieci, Lenka i Karol, zamiast podejść do mnie i się przytulić, uciekały i chowały się pod stołem... Chcę ich odzyskać. I pokazać mojemu zmarłemu tacie, że zrobię to dla niego i się wyleczę.

**Waldek:** – Ja na początku szukałem motywacji w takich prostszych rzeczach, że czułem się źle z tym, że jestem chudy, i chciałem wyglądać trochę lepiej. A jak już zasmakowałem trzeźwego życia, to motywacją jest dla mnie, żeby nie wrócić już do tego, co było kiedyś. To mam za sobą. Teraz wiem, co to znaczy żyć inaczej. I to życie na trzeźwo mi się bardziej podoba... Możliwość wychodzenia do szkoły na trzeźwo... poznawanie tam ludzi... I to jest lepsze niż ćpanie.

**Patryk:** – Dla mnie motywacją jest ciocia, która daje mi dużo wsparcia. Dzięki niej tutaj przyjechałem, bo na początku nie miałem wcale zamiaru. Gdyby nie ona, toby mnie tu nie było.

**Adrian:** – Dla mnie motywacją jest ojciec. Też miał problem z nałogiem, ale potrafił z niego wyjść, teraz jest trzeźwy już drugi rok. I on mi daje dużo siły. Kocha mnie ponad życie i jest w stanie dla mnie zrobić wszystko.

#### **– Ile macie trzeźwości?**

- Ja mam rok.
- Trzy dni.
- Mam sześć miesięcy.
- Prawie trzy miesiące.
- Niecały miesiąc.
- Dwa i pół miesiąca.
- Ja rok.
- Jedenaście miesięcy
- Dwa miesiące.



– **Co chcecie przekazać innym ludziom, którzy będą to czytać?**

**Bartek:** – Ja bym chciał, żeby ludzie, jak sobie przeczytają, co tu mówimy, mogli wyciągnąć wnioski. Wielu z nas tutaj doprowadzało się do takich stanów, że nikt, co będzie to czytał, by nie chciał tego przeżyć. Może podejmą dobre decyzje.

**Patryk:** – Żeby to była przestroga dla tych, którzy właśnie zaczynają i mają taki czas eksperymentowania z dopalaczami. Ja z doświadczenia wiem, że w szkole wiele razy przychodzili do nas panowie ze straży miejskiej i coś w tym stylu... Jakieś filmy były puszczane, że to zło... Ale to takie sztuczne, nie? Takie podstawione osoby, które tak śmiesznie mówiły o tym... Chciałbym, żeby to była taka przestroga od tych, co to przeżyli, że nie warto sobie psuć życia.

**Nina:** – Że zaczyna się zabawą, a kończy tragedią.

**Adrian:** – Ja bym chciał, żeby to było punktem zwrotnym dla wielu ludzi. I żeby można było tym odmienić życie uzależnionych od dopalaczy, żeby poszli na terapię, żeby dali sobie szansę i uratowali się.

**Krzysiek:** – Ci, co teraz biorą, żeby poszli na leczenie, a do tych, co jeszcze nie brali, powiem, żeby nie próbowali. Bo skończą w takim ośrodku. Albo w więzieniu.

**Nina:** – Każdy z nas sobie wmawiał, że nie jest ćpunem, że mnie to nie spotka... Wszystko się obróci: każdy, co teraz ćpa, zostanie ćpunem. I nie będzie „mnie to się nie zdarzy, bo mam silną wolę”... Ta silna wola zamieni się w nic, jak będziesz brał narkotyki.

**Ala:** – Ja myślę, że jak skończy się leczenie, to jest się zwycięzcą...

**Waldek:** – Zwycięzcą jest się wtedy, kiedy się będzie trzymowało trzeźwość do końca życia...

### – **Opowiedzcie o swoich marzeniach...**

**Patryk:** – Skończenie terapii, bycie trzeźwym do końca życia. A takim największym – wyjazd do USA i żeby zwiedzać różne kraje. Zabrać z sobą dziewczynę. I móc zafundować mojej rodzinie podróż tam, gdzie będę mieszkał – do USA.

**Krzysiek:** – Żeby odbudować relacje z rodziną. I kiedyś samemu założyć rodzinę. Znaleźć dobrą pracę. Jakiś samochód... dom... A przede wszystkim być trzeźwym.

**Nina:** – Chcę wrócić do mojej drużyny w siatkówce. I zacząć znowu biegać. Po terapii chciałabym wyjechać do Japonii. Ale największym marzeniem jest wyleczenie się.

**Bartek:** – Moim marzeniem jest, żeby mieć w przyszłości rodzinę. Potrafić ją utrzymać, mieć dobrą pracę. Na pewno chcę mieć dzieci, samochód. I normalne życie, możliwie bezproblemowe. Żeby nie walczyć ciągle, jak związać koniec z końcem.

**Waldek:** – Moim marzeniem jest odbudowanie relacji z całą rodziną, nie tylko z rodzicami. Bo bardzo ich zawiodłem. Znaleźć dziewczynę, poukładać sobie życie... Umieć zorganizować sobie czas na co dzień. Znaleźć dobrą pracę. A celem największym jest zakończenie terapii.

**Patryk:** – Żeby mama była dumna ze mnie. Żeby myślała: był z niego taki gnojek, a wyszedł taki porządny mężczyzna.

**Nina:** – Żeby powiedzieć mojej mamie i siostrze, że mój tata miał rację, kiedy mówił, że wyszłam z nałogu. A obrażali go za jego życia, że jest naiwny, bo we mnie wierzy. Mówili, że jestem zwyczajnym ćpunem, zakałą. Chcę ukończyć terapię, stanąć przed moją mamą i przed moją siostrą i powiedzieć: „On miał rację, a wy nie! Patrzcie, jakie byliście głupie, że przestałyście we mnie wierzyć”.

## Odłona ósma

---

### *Karolina*

Karolina mówi, że zaczęła brać dopalacze, bo tak chciała, i tak samo przestała je brać, bo tak postanowiła. Między pierwszym a drugim postanowieniem Karoliny minęły prawie dwa lata.

Pierwszy raz wzięła, kiedy miała mniej niż czternaście lat. Byli na dyskotecce całą paczką: Zosia, Janek – chłopak Zosi i kumpel Marty, jej najlepszej przyjaciółki. Dokładnie pamięta miejsce – męska toaleta w dyskotecce.

– Dlaczego męska?

– Bo damska była zajęta... Janek miał to w samarce<sup>3</sup>. Nabiliśmy dzidę<sup>4</sup> i paliliśmy. Ja wzięłam maks dwa–trzy buchy<sup>5</sup>.

– Jak to? Tak łatwo, bez obiekcji bierzesz coś, co ci ktoś podaje w kiblu...

– Znam człowieka, ufam mu, to biorę to, co on. – Karolina wzrusza ramionami i nie rozumie zdziwienia.

Janek był dilerem. Ściągał towar z Załęża.

---

<sup>3</sup> Plastikowa torebka zamykana od góry.

<sup>4</sup> Szklana rurka do palenia tytoniu, inaczej fifka.

<sup>5</sup> Zaciągnięcie się podczas palenia.

– Jak miał sort<sup>6</sup> do odebrania, to się tam jechało i odbierało na hasło. W szkole sprzedawaliśmy tylko bliskim znajomym, często rozdawaliśmy. Reszta szła na miasto. Z tego był niezły szmal i dla siebie mieliśmy towar za darmo. Na koncie Janka uzbierało się z pięć kawałków. Na browar, na zakupy, na służgi.

Karolina i jej paczka uwielbiali zapomniany skwerek przy ślepej ulicy, prawie w centrum miasta.

– Nam pasowało. Zaraz obok był sklepik, to mieliśmy blisko po papierosy i alkohol. Całe dni tam spędziliśmy. Ćpaliśmy, gadaliśmy, opalaliśmy się, uczyliśmy się matmy, angielskiego...

– Naćpani? Jak wchodzi matematyka na haju?

– Fajnie, lepiej niż na trzeźwo. Trójkę dostałam. Ale my nie chodziliśmy tam naje..., tylko naćpani! – z naciskiem wyjaśnia. – Z alkoholu tylko piwko, dwa. Ćpanie było fajniejsze. Brałam, bo było fajnie, bo było zabawnie, bo była faza, bo był haj.

Karolina zaczęła wyciągać mamie z portfela drobne pieniądze. Po pięć złotych, żeby nie zauważyła.

– A przecież mieliście pieniądze na koncie u Janka...

– No tak, ale ja nie zawsze byłam tam, gdzie on, żeby od niego brać. Jak byłam w domu i potrzebowałam na służgi, to wyciągałam od mamy.

Dużo później, już podczas terapii, Karolina robiła takie zadanie, w którym trzeba policzyć, ile wymiennie, w konkretnej kwocie, człowiek stracił przez ćpanie.

---

<sup>6</sup> Towar.

– Przepier... 30 tysięcy złotych – podliczyła.

\*\*\*

Karolina spotykała się wtedy z Mateuszem. Mówi, że był fajnym chłopakiem. Chciała z nim być, ale go okłamywała, że tylko trawę pali, a nie dopalacze.

– Palenie trawy było dla Mateusza okej?

– Tak, ale mnie trawa nie pociągała. Palłam może z siedem razy w życiu, bo po trawie nie było fajnie, nie kopało jak po dopalaczach.

Z Mateuszem Karolina rozstała się dokładnie rok po poznaniu, tego samego dnia, o tej samej godzinie, w tym samym miejscu. Mówi, że przez czysty przypadek tak wyszło..

– W zasadzie to go zdradziłam, bo byłam już wtedy z Kajtkiem. On, jak Janek, też był dilerem. Raz był z nim kontakt, raz nie było. Poćpaliśmy sobie, pogadaliśmy, a potem on szedł w dłuższy melanż<sup>7</sup>. Taki to był związek...

\*\*\*

– W gimnazjum z pół roku nie byłam w szkole. Nie pod rząd, ale w sumie. Raz szłam, raz nie szłam. Matka mi usprawiedliwiła 400 godzin. A matce był kit wciskany. Na przykład że źle się czuję albo że płakałam. I bez przerwy „jeździłam” do Marty, bo mama ją lubiła, więc do niej

---

<sup>7</sup> Impreza połączona z piciem alkoholu, przyjmowaniem innych używek. Także: biba, libacja, balanga.

pozwalala mi wychodzić.

Karolina mówi, że kiedy brała, jej relacje z mamą były straszne.

– Ciągłe się żarliśmy o wszystko. Mama w końcu myślała, że z nią coś jest nie w porządku, i sama zaczęła chodzić do psychologa. A ja ją jeszcze podkręcałam. Psycholog mówił mamie, że dlatego, że jestem pierwszym dzieckiem z całego rodzeństwa, to ona mnie trzyma pod kloszem. I że powinna dawać więcej wolności, bardziej zaufać...

Karolina mówi, że bez trudu potrafiła mamę zmanipulować, ugadać, żeby ją spod tego klosza wypuszczała... W sumie potrzebowała mamy tylko w charakterze bankomatu i żeby zgody na wyjścia dawała.

– Haj lajf miałam. Matka na kozetce, wbita w poczucie winy. A ja latałam po mieście naćpana. Ze swoją kasą, z jej kasą i jeszcze z Janka kasą. Agresywna byłam. Wiele razy się z mamą od k... wyzywałyśmy. To chyba nie jest normalne. Chlebem w nią napier..., chałką, bo akurat chałkę jadłam. Raz policja u nas była, bo się pobiłyśmy. Zrobiłam test i jej do pokoju zaniiosłam, jeszcze ciepłe siki i zamoczony w nich test. Puknęłam ją lekko w głowę, żeby się odwróciła i zobaczyła, że czysta jestem. Ona odtrąciła moją rękę i tak się zaczęłyśmy napier..., że na korytarzu wylądowałyśmy. Wezwała policję. Ci popier..., że jak będę matkę bić, to mnie wezmą na izbę, i sobie poszli.

– Co robił wtedy ojciec?

– W szpitalu był. Jak zawsze. Ale to nie jest mój tata, tylko ojczym. Matka też go zresztą... On żyje w gabinecie. Wszystkie swoje pacjentki by wy... Ma szmal przynosić, auto zawozić do mechanika, a tak to nie ma nic do gadania.

\*\*\*

Karolina chodzi teraz do innej szkoły, bo ojczym się uparł na to przeniesienie, jak wyszły dopalacze. Karolina mówi, że ten jeden raz się przejął. Ale jak ją już zawiózł do nowej szkoły, to zaraz wyjechał do Anglii. Od tamtego czasu Karolina nie ma z nim kontaktu.

– Podobno jedna pacjentka go tam zaprosiła, żeby ją prywatnie leczył – kpi Karolina. – Na początku się buntowałam, że mnie zabrali z mojego liceum. Ale nawet polubiłam tę szkołę. Ludzie są fajni, nauczyciele też w porządku. Bardzo się przejmują. Czasem aż mnie to dziwi, bo w tamtej szkole wszystko mieli w dupie. Gdybym tam została, musiałabym klasę powtarzać na bank. A tu nie. Gadają, tłumaczą – aż wytłumaczą. No i można przyjść z wychowawcą tak zwyczajnie pogadać. Potem to już mi było głupio omijać szkołę. Widziałam, że im zależy.

Choć przez dopalacze Karolina zmieniła szkołę, choć na początku w tej nowej opuściła z półtora miesiąca zajęć, to w sumie nie miała z nauką problemów. Mówi, że jak zechce, to bez problemu wszystko zalicza.

– Nawet zachowanie miałam wzorowe, bo się zawzięłam, żeby matce pokazać, że ze mną wszystko jest w porządku. Zrobiłam dwa projekty, w jakichś happeningach uczestniczyłam, a to się liczy.

\*\*\*

Następny chłopak Karoliny też brał dopalacze. I też nimi handlował. Przyjeżdżał po nią autem pod szkołę, choć nawet prawa jazdy nie miał.



– Jeździliśmy i ćpaliśmy razem. Braliśmy towar z Francuskiej, z Uniwersyteckiej i sprzedawaliśmy na mieście albo na dworcu. Cały czas sprzedawałam. Po pięć, po dziesięć złotych. Zawsze z tego zostawały dwie–trzy dzidy dla siebie. Zawsze się znajdzie jakiś debil, któremu można opchnąć listek trawy za 30 złotych. Albo zwykłą herbatę, albo sól kuchenną. Sama sprzedawałam debilom totalnym samą szafwię ususzoną. Przychodzi potem taki i mówi, że nie działa. „Jak nie działa?! – ja z krzykiem na takiego. Dostałeś na spróbkę i było okej, tak?” Bo na spróbkę się daje dobry towar. A jak gość był namolny, to mu się mówiło: „Dobra, nie płacz, znaczka<sup>8</sup> ci odstrzelę od zioma!”

Dzięki swoim chłopakom Karolina cały czas miała łatwy dostęp do dopalaczy. W zasadzie na własne potrzeby miała je za darmo. Ale – w razie potrzeby – wie, jak zrobić towar w domu:

– Bierze się szafwię lekarską, moczy w acetonie albo polewa domestosem. To się suszy na kaloryferze, kruszy i gotowe.

– To ja nie będę tego pisał, bo to gotowy przepis jest...

– Człowieku, to jest wszędzie! W sieci, gdzie chcesz...

Doskonale wie też, gdzie dopalacze się kupuje. Według niej najlepszą przykrywką dla ich sprzedaży są sklepy z mydłem i powidłom.

– Przez cały dzień, jak ktoś przyjdzie, to nawet może sobie jakieś badziewie kupić, bo nawet na półkach jakiś normalny towar mają. Handel zaczyna się wieczór. Pukasz w okno i dostajesz prawdziwy towar. Za 15–16 złotych. Jaki chcesz. Do nosa, do palenia, do wstrzykiwania. Tylko na opakowaniu jest napisane, że to środki do pralki albo do zmywarki. Ale wszyscy

---

<sup>8</sup> LSD.

wiedzą przecież, o co chodzi.

– Jak to wygląda?

– Najczęściej to jest jakieś zioło, jak szałwia, nafaszerowane jakąś chemią, pokruszone i wsypane do samarki. Albo w słoiku, jak sól wygląda. Wtedy to jest do wstrzykiwania albo się w wodzie rozpuszcza do picia. W necie tak samo – wszystko jest, co chcesz i ile chcesz. Afgan, Stefan, Józef... Takie nazwy były.

– A Mocarz?

– Mocarza to ja, szczerze mówiąc, nie znam. Nie mam pojęcia, nigdy tego nie brałam. Ja zawsze tylko paliłam.

Karolina przyznaje się, że wynosiła z domu sprzęty ojczyma, jego książki, płyty, biżuterię... Maciek z jej starej szkoły sprzedawał to wszystko za grosze, bo miał znajomych po lombardach.

– Wyciągnęłam tego na kilkadziesiąt tysięcy. I z tego tylko mała część poszła na dopalacze, bo sort cały czas miałam z handlu. Przeje... to na kosmetyki, na żelowe paznokcie za 120 złotych co tydzień, na fajki, na knajpy. Cały czas obiady jedliśmy w Staromiejskiej, w Kryształce albo jeździliśmy gdzieś pociągiem – nieważne dokąd. Do tego sałateczki, kanapeczki, kawusie non stop... A obok w bramie sklep, gdzie brało się dopalacze. Nawet kurtki nie trzeba było zakładać.

\*\*\*

Najgorszy dzień w swoim dopalaczowym życiu Karolina miała na początku wakacji, kiedy ostatni raz spotkała się ze swoim chłopakiem.

– Naćpani przez całe miasto jechaliśmy na dworzec odebrać jakieś matki papiery z pociągu. W pustym pociągu na boczniczy paliliśmy jakieś neonowe gówno w jointach<sup>9</sup>.

– Neonowe?

– Tak, bo normalnie świeciło. Wtedy już dużo potrzebowałam, więc wzięłam z siedem–osiem buchów i tam do swojej torebki nasikałam.

– Do torebki?

– Nie wiem dlaczego. Nasikałam i tyle. Poszliśmy na dworzec i dopiero tam mnie pier... Żrenice miałam jak kameleon. Nie mogłam wsiąść do tramwaju, więc kolega mnie niósł na rękach. Normalnie zapaść miałam, wszystko widziałam podwojone, potrojone. Myślałam, że umrę. Oni mieli po pogotowie dzwonić, ale bali się, bo naćpani byli i wiedzieli, że konsekwencje z tego będą. Tam się straszne rzeczy działy. W końcu zasnęłam na skwerku na ławce. Jak się przebudziłam – nie wiem, jak długo to trwało – to było już ciut lepiej. Wzięłam taksówkę, pojechałam do domu i poszłam dalej spać.

Następnego dnia Karolina wyleciała z Martą, jej mamą i facetem mamy na Rodos. Tam – jak mówi – nie ćpały wcale. Tylko się opalały i gadały przez dwa tygodnie.

Z tego gadania po wakacjach mama Marty coś wyczuła. A i Karolina nie umiała dłużej udawać. Dała się namówić na Monar. Było jej tak źle, że była gotowa chodzić tam raz na tydzień.

– Tam na początku robią ci test na obecność narkotyków. I w

---

<sup>9</sup> Papieros, skręt. Zwykle z marihuaną.

każdej chwili mogą go znów zrobić zniecka. W moczu dopalacze widać do pięciu dni po tym, jak wzięłaś. Mnie nigdy nie wyszło. Ale zawsze jak tam szłam, miałam mocz w kieszeni.

– Mocz w kieszeni?

– Albo masz syntetyczny mocz (kupujesz w necie za 35 złotych), który tylko trzeba podgrzać, albo bierzesz mocz od zioma, który nie ćpa.

– Zaraz, zaraz. Nadal nie rozumiem. Dobrowolnie idziesz do Monaru się leczyć i bierzesz ze sobą mocz, żeby nie wpaść na teście? To po co tam idziesz?

– Żeby pokazać mamie, że nie biorę. A naprawdę to musiałam wtedy brać coraz większe dawki, żeby się poczuć na haju.

Karolina mówi, że brała, bo nie było przyjaciół, bo nie mogła spać, bo kłóciła się z matką, bo złe rzeczy się działy. Czasem brała też amfetaminę.

– Jak spida<sup>10</sup> się bierze, to jest nowy dzień... Pracuje się wydajniej, cztery dni można nie spać, uczyć się bez przerwy. Tylko człowiek strasznie zmęczony. Pamiętam, raz dałam za spida pięć euro, które zabrałam mamie.

Zaczęła też brać w domu, czego wcześniej nie robiła. Paliła, leżąc w wannie albo w pustym gabinecie ojczyma, bo matka tam raczej nie wchodzi. Albo nawet w swoim pokoju, wychylając się przez okno.

– Mama siedziała w pokoju obok, a ja tu sobie paliłam. Raz weszła, jak paliłam dopa, i prawie w chmurze dymu stanęła.

---

<sup>10</sup> Amfetamina, środek psychostymulujący.

Nie wiem, jakim cudem nic nie poczuła. Do dziś nie wiem, jak to możliwe. Raz sobie gorącą lufkę w dupę musiałam schować, żeby nie zobaczyła, jak mnie przyłapała w łazience.

\*\*\*

– Pod koniec roku więcej motałam<sup>11</sup>, niż paliłam. Chcieliśmy wtedy interes życia zrobić. Postanowiliśmy, że kończymy z dopalaczami i przerzucamy się na trawę. Chcieliśmy ją sami hodować i wprowadzić na rynek nowość: fioletową trawę. Taką, jak Jimi Hendrix palił. Jakie to były, k..., projekty! Wszystko dokładnie policzone – mieliśmy po pięć tysięcy na twarz zarabiać. Zamawialiśmy nasiona w sieci. Przysyłali je w pudełkach po CD, nie wiem dlaczego. Za jedno nasionko płaciliśmy 60 złotych, a to nie jest najdroższa trawa. Za „rosyjską” płaci się 130 złotych za nasionko, bo ona może na zewnątrz rosnąć i nawet mróz wytrzyma. Ale i tak nie masz gwarancji, że z każdego nasionka coś wyrośnie. Niestety, towar był trefny i nic nam z tego nie wyszło.

\*\*\*

Karolina mówi, że brała dopalacze dwa lata, ale jest przekonana, że nie była uzależniona, nie miała przymusu brania.

– Mogłam nie palić przez jakiś czas i spoko. Raz miałam przerwę cztery miesiące. Jak postanowiłam, że rzucam, to cały czas byłam trzeźwa. Przestałam, żeby się mama odje... Będzie

---

<sup>11</sup> Sprzedawać, handlować.

rok, jak nic nie brałam.

Kiedy policja po nią przysłała, Karolina nie brała.

– Spóźnili się. Ja już nic nie miałam. Z psem na przeszukanie wparowali. Zabrali mi wszystko, nawet telefon, i w piżamie mnie wzięli. Do łazienki nie mogłam sama pójść. Przesłuchanie trwało sześć godzin. W sumie to byłam megadebilką, wszystko miałam na Facebooku i w telefonie: esemesy, zdjęcia... Gliniarze wszystko mieli na tacy podane. Jak osła mnie wzięli.

Noc Karolina spędziła na izbie dziecka na Tysiącleciu i jak mówi, to tam postanowiła, że pomalutku sama z tego wyjdzie, że będzie mieć nowy start.

– Jestem zażenowana policją. W kółko tylko powtarzali, że jak mnie matka nie będzie chciała zabrać do domu, to mnie do poprawczaka wsadzą albo wywiozą do ośrodka zamkniętego pod ruską granicą. A ja za nic w świecie nie chciałam do ośrodka zamkniętego jechać. Raz w terapii mnie wywalili, bo kryłam zioma, który brał – taki układ z nim miałam – to od razu pobiegłam ich pięknie przeprosić i na drugi dzień byłam z powrotem przyjęta. To też, żeby tylko do zamkniętego nie jechać. Bo po wyroku to taka byłaby konsekwencja.

Kiedy w sądzie dla nieletnich zapadł wyrok, Karolina kończyła już terapię, na którą poszła dobrowolnie. Wyrok usankcjonował to, co już zrobiła. Ale nadal ma kuratora i chodzi do ośrodka. I jest z chłopakiem, który nic nie bierze. Ale zna jej historię i wie, jak to jest, bo miał ojca alkoholika.

– Mówi mi, że jestem bardzo dzielna, że przez to wszystko przeszłam. Ale to się nigdy nie kończy, trzeba całe życie uważać.

– A mama?

– Teraz jest fajnie. Jak ja się bardziej staram, to i ona się bardziej stara. Odzyskuje zaufanie do mnie, mogę robić więcej. I jak jej mówię „dzień dobry”, to ona wie, że o dzień chodzi, a nie o noc, bo wcześniej nawet tego nie była pewna.

## Podziękowania

---

Serdecznie dziękujemy bohaterom naszych tekstów za otwartość, poruszającą możliwość wspólnej pracy i podzielenie się najtrudniejszymi przeżyciami.

Dziękujemy wszystkim terapeutom, którzy wsparli nas w tym projekcie życzliwością i wiedzą – wasza pasja i umiejętności są po prostu bezcenne w tym bezmiarze nieszczęść powodowanych przez dopalacze.

Szczególne podziękowania za gościnę i otwartość, a przede wszystkim za ogromne zaufanie kierujemy do społeczności Ośrodka Profilaktyczno-Społecznego dla Uzależnionych i Ich Rodzin przy ul. Wiolinowej 1 w Częstochowie, Ośrodka Rehabilitacyjno-Wychowawczego dla Młodzieży Uzależnionej przy ul. Rejtana 7 B w Częstochowie oraz pracowników V Oddziału ogólnopsychiatrycznego z pododdziałem detoksykacji dla osób uzależnionych od substancji psychoaktywnych w Samodzielnym Publicznym Psychiatrycznym ZOZ w Choroszczy.

Całym sercem zaś jesteśmy przy najmłodszych bohaterach tej książki i ich walce o siebie. Dziękujemy Marysi, Krzysiówi, Szymonowi, Mateuszowi, Pawłowi, Patrykowi, Mateuszowi, Adrianowi, Wojtkowi, Nicoli, Mateuszowi, Rafałowi, Ani, Oli, Konradowi, Olkowi, Waldkowi, Jakubowi, Jelenie i Kubie, Olkowi, Maćkowi, Bartkowi, Dawidowi, Bartkowi, Michałowi, Olkowi, Kasi, Adamowi, Marcinowi, Hubertowi...

Nieczęsto zdarza się, żeby dziennikarze mogli – tak jak my – wejść do wewnętrznych światów swoich bohaterów. Dziękujemy!

*Barbara Chybalska-Cichoń  
Janusz Janiec  
Wojciech Chelchowski*



## O nas

---

Fundacja Dialogos działa w Częstochowie od 2012 roku. Zaprosiliśmy do współpracy psychologów, trenerów, dziennikarzy, mediatorów, grafików, artystów...

- Moderujemy debaty publiczne.
- Upowszechniamy mediacje jako najbardziej dojrzałą formę rozwiązywania sporów.
- Pracujemy na rzecz ludzi uzależnionych i ich rodzin.
- Prowadzimy wykłady motywacyjne, treningi i warsztaty.
- Szukamy alternatywnych sposobów wyjścia z najtrudniejszych problemów i nowej jakości rozmawiania o nich w społecznej rzeczywistości.

W zespole złożonym z psychologów i dziennikarzy mogliśmy zobaczyć rzeczywistość w wielu wymiarach. Właśnie takie siły połączyliśmy w projekcie „Dopalacze, odsłona piekła”.

**DIALOGOS**  
FUNDACJA DOBREGO NAWZAJEM

[www.fundacjdialogos.pl](http://www.fundacjdialogos.pl)

[biuro@fundacjdialogos.pl](mailto:biuro@fundacjdialogos.pl)

## Spis treści

---

Odsłona pierwsza .....	5
Odsłona druga.....	13
Odsłona trzecia .....	21
Odsłona czwarta.....	37
Odsłona piąta .....	46
Odsłona szósta .....	57
Odsłona siódma .....	69
Odsłona ósma .....	83
Podziękowania .....	95
O nas .....	96

Nikt nie prowadzi pełnej statystyki zatruć dopalaczami.

O ile lekarze w ogóle wiedzą, że przyczyną kłopotów ze zdrowiem były dopalacze, to szpitale i tak informują o takich przypadkach zupełnie dobrowolnie.

Nie regulują tego żadne przepisy.

W 2013 roku na całym Śląsku zgłoszono 18 przypadków zatruć dopalaczami, rok później – 602, a w roku 2015 (do połowy listopada) – 2014, z czego 1450 osób ratowano w szpitalach, a 7 zmarło.

W czerwcu 2015 r. w województwie śląskim zgłoszono 126 zatruć, w lipcu – 838.

Jesienią fala informacji o zatruciach opadła do około 120 miesięcznie. Być może podniesie się znowu, gdy na rynek trafi równie niebezpieczny dopalacz jak wakacyjny „Mocarz”.

Właściwie stać się to może każdego dnia...



Ministerstwo  
Spraw Wewnętrznych  
i Administracji



Jasno, że  
**CZĘSTOCHOWA.**  
...it's clear



**DIALOGOS**  
FUNDACJA DOBREGO NAWZAJEM

Projekt "Dopalacze, odstępa piekła" realizowany przez Fundację Dialogos został sfinansowany ze środków Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz Urzędu Miasta Częstochowy